PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austryi: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Bonerowska № 12.
CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronice poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadesłane kop. 75. Marginesy: na I-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: WARSZAWA, Zgoda № 1.
Telefony: Redakcyi 80-75, redaktora 68-75, Administracyi 73-22.
FILIE ADMINISTRACYI: Sienna № 2 tel. 114-30.
ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81.

*Za odnoszenie do domu dopłaca się 10 kop. kwart.*

# ŚWIAT

Rok VIII. № 28 z dnia 12 Lipca 1913 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Redaktor: Stefan Krzywoszewski
Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.



# EUROPA i AMERYKA.

Wyszło niedawno dzieło znakomitego historyka Rzymu, Wilhelma Ferrero, pod tytułem *„Między dwoma światami“* [1]). Zawiera ono w formie wysoce artystycznej wrażenia z odwiedzin Ameryki Północnej i Południowej, gdzie autor miał szereg wykładów publicznych o swej specyalności, to jest o historyi Rzymu, z ogromnem powodzeniem.

Zwiedził Brazylię, Argentynę i Stany Zjednoczone — będąc podejmowanym wszędzie, jako gość znakomitych osobistości, stojących u steru rządów w tych krajach. Gościł przez tydzień w domu Białym u Roosevelta w Waszyngtonie, który, przeczytawszy pięciotomową „Historyę Rzymu“, wpadł na pomysł zaproszenia jej autora do siebie i postarał się zarazem, by go zaproszono na wykłady w Lowell Institute. Podobnie podejmował go baron di Rio Branco, minister spraw zewnętrznych w Rio de Janeiro, i szereg wpływowych osobistości w Argentynie. Dla wycieczek w głąb kraju dawano mu wagon salonowy do rozporządzenia. Poznał setki ludzi wybitnych w tych krajach, gdzie go tak świetnie przyjmowano, i miałby wiele do powiedzenia o tem, co widział i słyszał.

Ale Ferrero postanowił ująć swe ogólne wrażenie w formie artystycznej fikcyi — rozmów, prowadzonych na statku, wracającym z Rio de Janeiro do Genui, między europejczykami i amerykanami.

[1]) Guglielmo Ferrero. Fra i due mondi. Milano, Fratelli Treves 1913 prezzo cinque lire.

Zaczyna się od paradoksu, rzuconego przez dorabiającego się milionera argentyńskiego, Alverighi, że New York jest najpiękniejszem miastem na świecie! To wywołuje dyskusyę o normach estetycznych, o znaczeniu powag i, wreszcie, o normach etycznych. Amerykanie jasno w tym dyalogu okazują, że norm żadnych stałych nie uznają. Rozszerzenie horyzontów przez odkrycie Ameryki wzbudziło w nich rozmach, druzgocący wszelkie tradycye, poczynając od trwałości związków rodzinnych, których niestałość Ferrero na przykładach, wziętych z życia rozmawiających pasażerów, uwydatnia.

Zarazem jednak okazuje nam autor, jak dalece to zachwianie wszelkiej powagi i praw, nakładających ograniczenia na swawolę jednostek, jest niebezpiecznem dla życia duchowego. Prowadzi ono do wyuzdania i grubego materyalizmu. Ameryka przedstawia się pod piórem Ferrera wcale niekorzystnie, jako kraj barbarzyński, w którym pogoń za bogactwami hamuje wszelkie szlachetniejsze aspiracye.

Widać jednak u autora nadzieję, że to barbarzyństwo samo sobie kres zgotuje i będzie zmuszone ukorzyć się przed tradycyami Europy. Słyszymy dziwne opowieści o sposobach szybkiego dojścia do wielkich majątków — widzimy bałwochwalczą cześć tłumów dla tych zdobytych milionów — ale spostrzegamy zarazem, jak niepewnem i niestałem, pozbawionem oparcia moralnego jest życie milionerów.

Najrozumniejszy uczestnik dyskusyi, Emilio Rosetti, jest, według przedmowy, nie zmyśloną figurą, lecz żyjącym człowiekiem, który, zrobiwszy skromny majątek w Argentynie, powrócił do Europy i spokojnie poświęca się nauce i sztuce. Ukazuje on, w przeciwieństwie do megalomanii amerykańskiej, ideał umiarkowania i uznania norm rządzących życiem. Twierdzi, że amerykanie chorują na obłęd unicestwiania wszelkich granic i praw, określających tradycyjnie piękno i dobro. Takie niszczenie norm ustalonych sprawia chorobliwą rozkosz, wiodącą do szału. Tymczasem, piękno, prawda i cnota zawsze są zawarte w pewnych granicach, objęte pewnemi prawami niezachwianemi.

Taksamo i rodzina, stanowiąca podstawę społeczeństw, istnieć nie może bez sankcyi religijnej, wymagającej od małżonków ofiar — i swoboda, właściwa Ameryce, prowadzi nieubłaganie do bezpłodności, która zaczyna się szerzyć. Rosetti przytacza fakt, że Kolumb miał być kanonizowany, gdy się jednak wykryło, iż po powrocie z Ameryki miał nieślubny stosunek z panną Beatrice Henriquez, kanonizacyi zaniechano i — przyznaje słuszność Kościołowi w tej surowości, z jaką piętnuje wszelkie przekroczenie praw nierozerwalnego małżeństwa.

W całem dziele Ferrera widać łacińskie poczucie miary, normy, prawa i tradycyi, przeciwstawiające się samowoli indywidualizmu amerykańskiego. Ciągle powraca do twierdzenia, że nie wszystko wolno czynić, co się komuś podoba, że nie wszystko jest prawdą, co się komuś wyda prawdą, że nie wszystko jest piękne, co byle kto za piękne ogłosi. Istnienie praw objektywnych w zakresie moralności, wiedzy i sztuki znajduje w historyku Rzymu wymownego rzecznika. Indywidualizm krańcowy amerykanów prowadzi do upadku ich społeczeństwa, bo podkopuje trwałe istnienie rodziny i zmniejsza płodność mieszkańców. Dopiero gdy zło stanie się dla wszystkich oczywistem, nastąpi reakcya i uznanie praw, krępujących samowolę jednostek, przez co będzie możliwe odrodzenie Nowego Świata. Te poglądy swoje autor kładzie w usta swego przyjaciela, Rosetti'ego — podczas kiedy Alverighi wymownie broni stanowiska przeciwnego.

Ameryka jest tu przedstawiona nieco jednostronnie, według szablonu, który ukazuje w niej tylko pogoń za bogactwami. Niema w całej książce wzmianki żadnej o niezliczonych usiłowaniach reformy życia społecznego, czynionych przez amerykanów w różnych bractwach i koloniach Szekerów i innych sekciarzy. Z całego ruchu religijnego w Stanach Zjednoczonych wybrał Ferrero tylko jeden, łatwy do ośmieszenia, objaw: *Christian Science* pani Eddy, która twierdzi, że wszystkie choroby są złudzeniem. A przecie Ameryka, szczególniej Południowa, ma już swoję literaturę i sztukę wcale niepoślednią, podczas, gdy Ameryka Północna ma intensywne życie religijne.

Jednak książka Ferrera trafnie charakteryzuje jednę z głównych cech ducha amerykańskiego i napisana jest z rzadkim artyzmem. Osoby, do dyalogu wprowadzone, są żywymi typami, utrwalającymi się w pamięci czytelnika.

Cała dyskusya pobudza do namysłu i zmusza do zajęcia stanowiska wobec sprzecznych, poruszanych w niej mniemań. Kto Ameryki nie zna, dużo się dowie o Ameryce z tego dyalogu, a kto ją zna, ten znajdzie dobre sformułowanie własnych swych wrażeń w przemówieniach tych pasażerów, wracającego do Europy statku.

Książka Ferrera, pisana w duchu klasycznym, wywoła wiele dyskusyi w Europie i Ameryce i stanie się może również klasycznym pomnikiem świadomości różnic między Ameryką a Europą, jak słynne przed przeszło pięćdziesięciu laty dzieło Tocqueville'a: „O Demokracyi w Ameryce".

Tocqueville miał więcej sympatyi dla Ameryki, niż Ferrero, lecz nie dożył jeszcze rozwoju swawoli amerykańskiej, którego był świadkiem Ferrero. Jednak kto chce bezstronny sąd sobie utworzyć o Ameryce, dobrze zrobi, gdy oba te dzieła porówna.

Jakkolwiek przykrym bywa dla klasycznie wykształconego i wytwornego europejczyka pobyt w Ameryce, gdzie tak utopijna równość panuje między wszystkimi — trzeba jednak przyznać, że to życie amerykańskie, przetapiające tyle narodowości, jakby w jednym tyglu, na nową rasę, wnosi także pewne pierwiastki dodatnie do życia wszechludzkiego, choć nie te właśnie, które Adolfa Nowaczyńskiego tak zachwycają, a Ferrerowi się nie podobają.

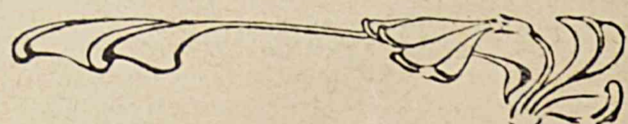
Nie to jest największą cnotą amerykanina, że umie gromadzić miliony, choć przy powierzchownej obserwacyi skupienie bogactw i ich nadużywanie najwięcej rzuca się w oczy. Także dziecinne paradoksy w zakresie sztuki, nauki i moralności nie stanowią, bynajmniej, najdonioślejszej cechy życia amerykańskiego. Cechą tą nie jest swawola i anarchia, lecz pewna samodzielność osobliwa jednostki wobec społeczeństwa, która w rezultatach społeczeństwu wychodzi na dobre, choć wiele jednostek wykoleja.

Włoskiego historyka uderzają najwięcej te wykolejenia i na nie kładzie on największy nacisk, lecz nie trzeba zapominać, że są one powetowane istotną twórczością nietylko na polu technicznych wynalazków, ale w zakresie filantropii, szkolnictwa i urządzeń społecznych. Z Ameryki wyszedł np. ruch bezwzględnej wstrzemięźliwości od trunków alkoholicznych, który wiele miast i krajów przeobraził, a o którym Ferrero wcale nie wspomina. W Ameryce wywalczono też ostateczne zniesienie niewolnictwa i wypróbowano prawa polityczne kobiet. O tych wielkich przeobrażeniach społecznych Ferrero przepomniał.

Że dotąd Ameryka mało wykazała twórczości w zakresie sztuki i nauki, to nic dziwnego, bo wszystkie siły amerykanów są skierowane ku pewnym udoskonaleniom społecznego życia. A przecie i w Grecyi nie odrazu kwitnęła sztuka i literatura, i Rzym czekał kilka wieków na pierwszych swych pisarzy.

Trzeba czasu, aby o tyle ustalić społeczne warunki, żeby twórczość artystyczna i naukowa miała swobodne dla siebie pole. Jeśli dotąd jakościowo Ameryka na tych polach nie dokonała nic nadzwyczajnego, to ilościowa jej produkcya naukowa i artystyczna jest ogromną. A typ ogólny amerykanina, choć z europejskiego punktu widzenia uznamy go za barbarzyńcę, jest typem barbarzyństwa znacznie wyższym, niż ten, który znajdujemy opisany przez Tacyta w Germanii, który jednak w dalszym swym rozwoju wydał rozkwit średniowiecza.

*W. Lutosławski.*



# Nasza nowa powieść.

W dzisiejszym zeszycie „Romansu i powieści" rozpoczynamy druk powieści p. Maryi Kościelskiej p. t. „W Berlinie". Powieść tę drukował przed kilku miesiącami jeden z najpopularniejszych miesięczników paryskich: „La Revue", poczem ukazała się w książce. Pięć wydań zostało w bardzo krótkim czasie wyczerpanych. Powściągliwe i mało literaturą zajmujące się dziennikarstwo paryskie poświęciło tej powieści wiele pochlebnych uwag. *„Temps"* podnosi talent naracyjny autorki; *„Figaro"* podkreśla, że jej obraz życia i obyczajów berlińskich jest trafny i zajmujący; *Journal des Debats"* zachwyca się „duchem francuskim, tkwiącym w obserwacyi i ujęciu przedmiotu". Według *„Journal'u"*, analiza autorki jest bardzo ścisła; *„La Patrie"* podnosi jej bezstronność, *„Illustration"* stwierdza, że „ta subtelna i wzruszająca historya miłosna, rozgrywająca się w najróżnorodniejszych ogniskach życia berlińskiego, daje wrażenie zupełnej prawdy i przeżytego dokumentu". Niemniej pochlebne krytyki zamieściły o powieści naszej rodaczki czasopisma angielskie (zwłaszcza *Pall-Mall-Gazette)* i niemieckie *(Vossische Ztg., Pester Lloyd).*

*„C'etait à Berlin"* w języku francuskim wyszło pod pseudonimem M. Aveline. W oryginale polskim autorka pozwoliła nam uchylić maski. I czytelnicy nasi zrozumieją łatwo owe pochwały krytyki cudzoziemskiej o „trafności" i „ścisłości" obserwacyi życia berlińskiego: p. Marya Kościelska miała sposobność poznać je dokładnie w ciągu tych lat, kiedy salony jej w Berlinie skupiały najwytworniejsze tamtejsze towarzystwo, i sam cesarz Wilhelm niejednokrotnie w nich gościł. Z tego powodu właśnie powieść p. Kościelskiej dla czytelników polskich będzie szczególnie interesująca, zwłaszcza dla tych, co w poprzednio wydanych powieściach i komedyach p. Kościelskiej umieli ocenić jej bystry dar spostrzegawczy i wytworny, pełen dowcipu, talent naracyjny.

Jesteśmy przekonani, że powieść p. Kościelskiej obudzi wśród czytelników „Świata" żywe zajęcie.



Marya Kościelska.



Baron Gros. Rysunek oryginalny z Napoleonem.

# David i jego szkoła.

*Z ostatnich wystaw paryskich.*

Pod powyższym tytułem zorganizowano niedawno w Paryżu, w „Petit Palais", wystawę portretów z początków XIX wieku, wielce interesującą, zarówno ze względów historycznych, jak estetycznych. Malarstwo David'a i jego uczniów przypada na najgorętszy okres historyi, obejmując dzieje Wielkiej Rewolucyi i Napoleona. Przytem w historyi sztuki spółczesnej stanowi ono ważny moment, wyrażając silny przełom, który poprzedził różne ewolucye, jakie zaszły w ciągu XIX wieku.

Obecna wystawa, ilustrująca dzieje tego przełomu, kompletuje też niezmiernie ciekawy pokaz dzieł Ingres'a, najwybitniejszego ucznia David'a, urządzony przed dwoma laty w Paryżu, w salonach Petit'a, który dla wielu osób, znających twórczość tego okresu tylko z sal muzeum Louvre'u, był prawdziwą rewelacyą. Doniosłość obu tych wystaw polega na tem, że pomagają do sprostowania pojęć często fałszywych o tych początkach historyi spółczesnej sztuki. Przyzwyczajono się uważać tę twórczość za „akademicką", sztywną i zimną, a dzieła tego malarstwa za przestarzałe i konwencyonalne. Jest to fałsz, czerpany przeważnie ze źródeł niemieckich.

Dzieła *David'a* i jego szkoły powstały w początkach XIX wieku, a były wyrazem reakcyi przeciwko zmanierowanej i konającej sztuce XVIII-go wieku, reakcyi równie silnej, jak sama Rewolucya przeciw staremu porządkowi społecznemu. Dzieła ostatnich przedstawicieli szkoły Le Moyne'a i Boucher'a, jak Vincent'a, Hallé'go, Berthélémy'ego, znamionują niewątpliwy upadek malarstwa XVIII w. przez manierę i szablon w kompozycyi, konwencyonalność w kolorze, lichy rysunek i fałsz w obserwacyi. Są one wyrazem zerwania z naturą i z prawdą. Twórczość David'a i jego następców jest świadectwem nowej oryentacyi w sztuce francuskiej, w kierunku prostoty i szczerości, a zarazem częściowo zwrotu w stronę klasycyzmu, zwłaszcza rzymskiego. Rzym, jego cnoty i ustrój społeczny były wtedy w modzie. Entuzyazmowała się dla nich cała Rewolucya. Oprócz tego David, reagując przeciw manierystowi sztuki z XVIII-go wieku, dokonał w sztuce francuskiej zwrotu ku obserwacyi natury, ku prawdzie, który mimo różnych wahań trwa do dziś. Jego uczniowie, wychował ich całe zastępy, poszli, w miarę talentu i sił, dalej od niego: stwo-



J. L. David. Rozdanie orłów.

rzyli szereg dzieł dobrych i trwałych, ilustrujących chlubnie epokę, i przygotowali cały ten wielki ruch w nowoczesnej sztuce europejskiej, któremu przez cały XIX w. przewodniczyła żywotnie Francya. Fakty te określają dowodnie znaczenie twórczości David'a i jego szkoły.

J. L. David urodził się w Paryżu w r. 1748. Rodzina jego utrzymywała liczne stosunki w sferach artystycznych, między innemi, ze sławnym naówczas Fr. Boucher'em, którego opinia o zdolnościach młodego David'a zdecydowała o jego przyszłej karyerze. Początki nauki malarstwa odebrał David w pracowni Vien'a, malarza średnich zdolności, który usiłował już jednak reagować przeciw manierycznej szkole XVIII w. W szkole Vien'a przygotowywano się do współzawodnictwa o wielką „Nagrodę Rzymską", o którą David walczył daremnie przez 8 lat; z tych czasów datuje się jego późniejsza nienawiść do Akademii królewskiej. Dopiero w r. 1774 uzyskał pierwszą nagrodę za kompozycyę klasyczną, dzięki której wyjechał do Rzymu. Pobyt i studya we Włoszech zmieniły gruntownie przekonania artystyczne David'a. Odtąd staje się on fanatycznym wielbicielem klasycyzmu. Wpływ ten zaciężył na wielu dziełach David'a i stałby się szkodliwym, gdyby go nie równoważyły realistyczne zdolności jego talentu, których najdosadniejszym wyrazem jest szereg bardzo pięknych jego portretów. Zwyczajem wszystkich stypendystów rzymskich, maluje kompozycye obowiązkowe na tematy z historyi starożytnej, które jednają mu pochwały komisyi. Wzrastające powodzenie i zachęta oficyalna oraz wpływ rzymskiego otoczenia pobudzają go do coraz większych wysiłków. Po kilku latach wraca do Paryża i zyskuje równą sławę, jak jego dawni znienawidzeni przeciwnicy z Akademii królewskiej. Wystawia wtedy stale w dorocznym Salonie urzędowym z wielkiem powodzeniem. Entuzyazm ówczesnej publiczności dla jego dzieł maluje dobrze fakt, że po wystawieniu „Synów Brutusa" — damy ówczesne porzucają modne dotąd pudrowane kuafiury, wprowadząc swobodny, rzymski sposób uczesania, na wzór jednej z córek Brutusa z obrazu David'a. Działo się to w przededniu Wielkiej Rewolucyi. David był charakteru gwałtownego i mściwego. Jego zaciekła nienawiść do Akademii uczyniła go skłonnym do przechylenia się na stronę zwolenników Rewolucyi. Nienawiść tę podsycały jeszcze niejednokrotnie uwagi niektórych członków Akademii, zazdroszczących mu powodzenia u szerokich mas publiczności, np.:

„Dopuszczasz się pan wykroczeń przeciw ustalonym prawom kompozycyi, jak nikt przed panem,— musisz mieć jednak racyę, skoro podoba się to publiczności"... W odpowiedzi na to David nazywał Akademię: „Sklepikiem fryzyerskim, z którego niepodobna wyjść, nie będąc zawalanym"...

Uczniowie, napływający tłumnie do jego pracowni, korzystali w niej wiele, David bowiem dopuszczał ich bezpośrednio do udziału w swej pracy.

Od r. 1790 David bierze czynny udział we wszystkich znaczniejszych wypadkach tej epoki. Wypadki te nie hamują jednak jego pracy malarskiej. Zebranie Jakobinów (28 października, 1790 r.) poleca mu uwiecznić pamiętne zgromadzenie, odbyte w sali „Jeu de Paume". (Rysunek w Luwrze). W epoce tej powstały



J. L. David. Portret I-go konsula.

A. Fragonard. Boissy d'Anglas przed ściętą głową deputowanego Ferraud (w maju 1795).

najlepsze portrety David'a. W obrazach historycznych wprowadził on większą, niż przed nim prostotę układu kompozycyi, których kulminacyjnym punktem stanie się później „Uroczystość koronacyi Napoleona" (Louvre), wykonana na zamówienie.

Jego portrety malują równie dobrze charakter odtwarzanych osób, ich indywidualne cechy, jak i ducha epoki, i dlatego są doskonałemi dokumentami historycznemi. W kompozycyach historycznych, wykonanych potem na zamówienie Napoleona, pozostał David i nadal portrecistą i ta też część jego dzieł najlepszą.

W r. 1792 David mianowany zostaje członkiem Konwentu. Z temperamentu skłonny do uniesienia, D. dostaje się między najgorętszych terorystów. Charakterystyczne są z tego okresu jego propozycye artystyczne. Podsuwając liczne projekty pomników, medali pamiątkowych i t. p., uzasadnia je zawsze na modłę starożytną. Wyrażenia: „Za przykładem Egipcyan i innych starożytnych", — „wzorem greków i rzymian" — powtarzają się ciągle w jego ówczesnych publicznych przemówieniach.

Za zasługi, położone przez D. w Konwencie, mianowano go w trzecim roku Rewolucyi przewodniczącym straszliwego Komitetu publicznego bezpieczeństwa. Czynny i ustawiczny udział w życiu publicznem nie wyczerpał sił David'a. Na posiedzeniach rysował zawsze portrety i karykatury; w tym czasie powstają też trzy jego obrazy, związane ściśle z dziejami Rewolucyi. Są to: „Lepelletier de Saint-Fargeau"; „Śmierć Marata" i „Śmierć Bara", najmłodszego żołnierza rewolucyi. „Śmierć Marata", stworzona pod bezpośredniem wrażeniem faktu, jest jednym z najlepszych jego obrazów, będąc zarazem wiernym dokumentem.



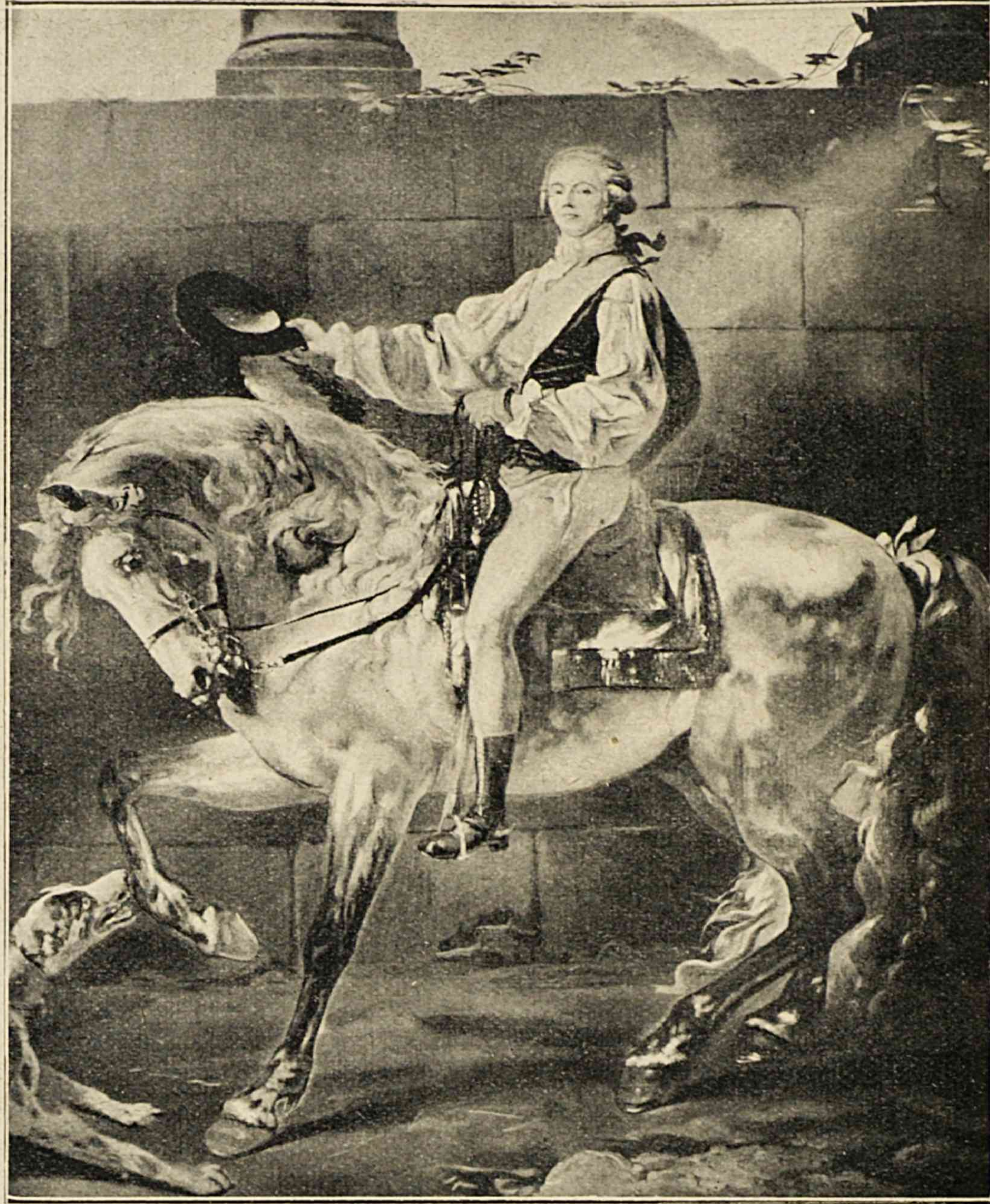
Ingres. Portret Guillon-Lethière.

W ciągu tej akcyi rewolucyjno-malarskiej zaskoczyła David'a niespodziewanie śmierć Robespierre'a, z którym łączyły go blizkie stosunki. Z wielkim trudem udało mu się ujść śmierci. Przez jakiś czas siedzi w więzieniu, gdzie pozwalają mu malować. Pobyt w więzieniu wpłynął uśmierzająco na polityczne namiętności David'a. W tym czasie jednak popadł on w doktrynerstwo, zupełnie podobne do tego, które zwalczał poprzednio zaciekle w Akademii. Nastaje okres formalnej manii „upiększania" natury. Obrazy jego stają się ckliwe, z wyjątkiem portretów, które, na szczęście, zmuszony był robić na zamówienie. Jego powodzenie u publiczności wzrastało ciągle, tak, że gdy za czasów dyrektoryatu, skończył obraz p. t. „Sabinki" (Louvre)— i ustanowił opłatę od wejścia na jego wystawę, ze wstępów uzyskał sumę 72 tysięcy franków. W czasie tej wystawy urządzał dla swych uczniów trzykrotną ucztę, za każdym razem, gdy suma wstępów przekroczyła kwotę 24 tysięcy franków.

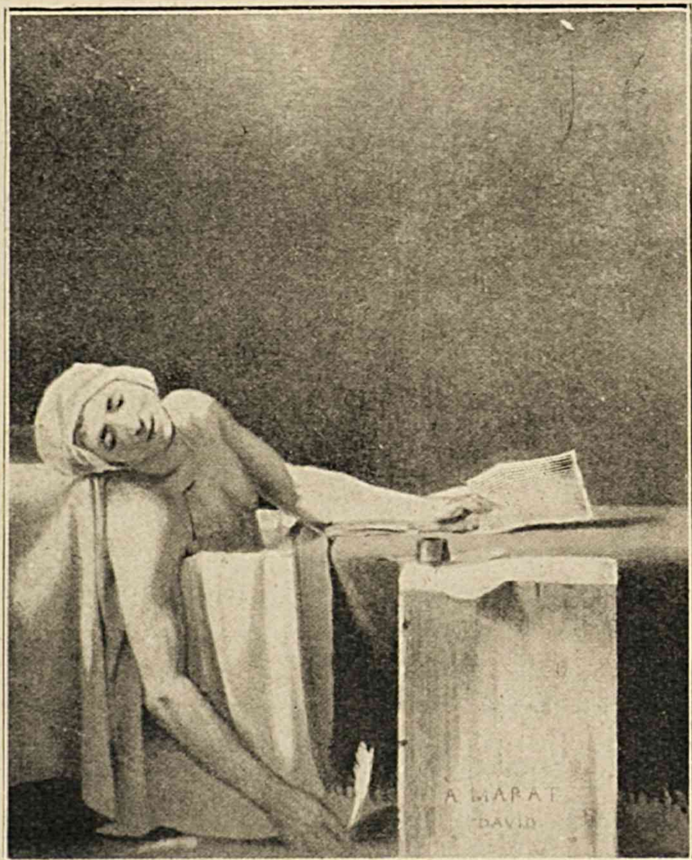
Znajomość David'a z Bonapartem datowała się oddawna. Malował kilkakrotnie portrety Napoleona, jako generała, potem, jako konsula i cesarza. Później został mianowany przez niego pierwszym malarzem nadwornym. Nie zapomniał jednak D. o swych poprzednich doświadczeniach i nie mieszał się już w sprawy polityczne. Wpływów swych używał jedynie dla popierania przy-



Baron Gros. Portret króla Murata na koniu. *(Własność ks. Murata)*



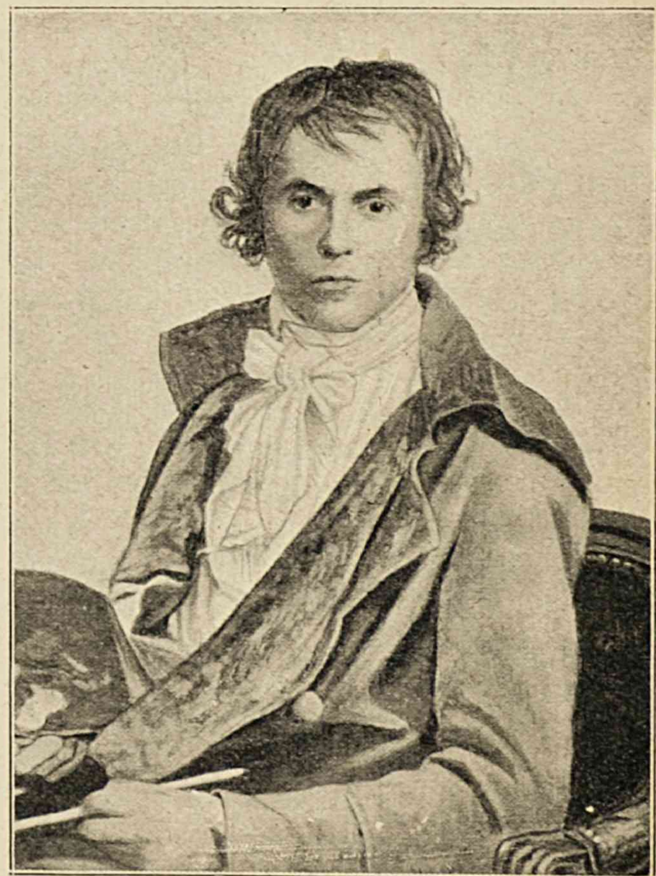
J. L. David. Portret ks. Stan. Kostki Potockiego.




J. L 'David. Marat assasinéj.



J. B. Isabey. Portret księżny Wołkońskiej.



J. L. David. *(Autoportret).*

jaciół i uczniów, których był zawsze gorliwym opiekunem. Jako malarz nadworny wykonał szereg obrazów oficyalnych, z których najwybitniejszemi są: „Koronacya" i „Rozdanie orłów". Przygotowywał je z wielkim nakładem pracy i wysiłków. Usiłowaniom nieprzyjaciół David'a udało się wkońcu odsunąć go od dworu. W tych warunkach nadeszły wypadki r. 1814 i powrót Burbonów na tron francuski. Pozostawiono go jednak w spokoju, a dopiero, gdy skompromitował się za następnym powrotem Napoleona do Francyi, podpisując w r. 1815 banicyę przeciw Burbonom, skazany został, po ostatecznym upadku Napoleona, na wygnanie. Lata wygnania do śmierci spędził David w Brukseli w warunkach wyjątkowo szczęśliwych. Ci, których popierał w czasie swych wpływów na dworze Napoleona, nie zapominali o nim i starali się, chociaż bezskutecznie, o zdjęcie z niego banicyi.

Był to wielki talent o równie wielkich wadach charakteru. Za winę swą odcierpiał. Ale twórczość jego pozostanie na długo niespożytą i zapomnianą być nie może.

Pozatem wykształcił David szereg wybitnych malarzów, a między nimi takich, jak: *Ingres*, który dokończył podjętego przez mistrza dzieła reformatorstwa i nowej oryentacyi w sztuce francuskiej, — dalej: *Gros*, słynny batalista, *Gérard*, portrecista, *Girodet*, *Riesener*, *Isabey*, *Granet*, *Rude* i wielu innych.

*Paryż.* *W. Mitarski.*

## Zarząd Tow. Polskiej Szkoły Nauk Politycznych w Krakowie.



Prof. Rostworowski.



Prof. Włodz. Czerkawski.



Prof. Wł. L. Jaworski.



Prof. St. Kutrzeba.



Dr. Bohd. Winiarski.

# Polska Szkoła Nauk Politycznych.

Drugi rok istnienia kończy Polska Szkoła Nauk Politycznych w Krakowie i wypuszcza w świat pierwszych swych absolwentów. Jeżeli czas ten zmierzyć sumą wysiłków młodej instytucyi, pokonanych przez nią przeszkód, zdobytych doświadczeń i osiągniętych rezultatów, to przyznać trzeba, że zrobiono bardzo wiele. Dwa lata wystarczało u nas często do upadku podobnych zamierzeń: Polska Szkoła nauk politycznych rozwinęła się w ciągu tych dwóch lat szybko i pewnemi krokami idzie w przyszłość. U podstaw było przeświadczenie jej twórców o pilnej u nas potrzebie, o konieczności wykształcenia politycznego. Pęd rozwojowy społeczeństw dzisiejszych unosi i nas także, a tragedya bytu zbiorowego jest to, że rwącego prądu życia nie możemy regulować zupełnie według naszej woli, ani kierować ku naszym, przez rozwój dziejowy wskazanym nam celom. Trzeba wielkich, nieustających wysiłków, byśmy nietylko istnieć mogli, ale i naszej własnej linii rozwojowej pozostali wierni.

Szybki proces demokratyzacyi wciąga w wir życia politycznego coraz nowe warstwy naszego społeczeństwa, zanim mogły sobie w dostatecznej mierze przyswoić tysiącletni dorobek narodowej kultury, uspołecznić się i uodpornić na działanie rozkładczych pierwiastków obcych i dezorganizujących, odśrodkowych skłonności własnych. Złożoność przejawów życia zbiorowego wzrasta ustawicznie, mnożą się wciąż pola pracy, a więc przybywają nowe pola walki z obcym wpływem, z obcą zaborczą kulturą, z obcą ekspansyą narodową. W takich warunkach sprawa wykształcenia politycznego staje się pierwszorzędną potrzebą społeczeństwa, które w tym kierunku właśnie nie zrobiło dotychczas nic prawie. Ignorancya naszej inteligencyi miejskiej, czy ziemiańskiej, w rzeczach politycznych i społecznych bywa wprost zatrważającą, nawet w kołach prawniczych i dziennikarskich wyjątki tylko myślą o polityce kategoryami właściwemi; brak wykształcenia politycznego mści się też ciężko na naszych reprezentacyach parlamentarnych. Naogół, w dziedzinie politycznej i społecznej wciąż jeszcze jesteśmy samoukami i mamy wszyskie wady samouków.

Polska Szkoła Nauk Politycznych podjęła ważne zadanie kształcenia—obywateli. Wzorowana ogólnie na słynnej Szkole paryskiej, różni się przecież od tamtej tak, jak położenie i potrzeby Polski różnią się od położenia i potrzeb Francyi. Nie trzymano się żadnych szablonów, nie nie naśladowano niczego bezkrytycznie; polską jest ta szkoła nietylko z nazwy i języka wykładowego, nietylko ztąd, że daje wiedzę spraw polskich, ale i dlatego, że jej organizacya, jej metody nauczania, są przystosowane do umysłowości polskiej i do typu zdolności naszej młodzieży. Program wykładów, systematycznie na dwa lata rozłożony, daje zupełny obraz naszego położenia i stanu posiadania, oraz całokształt zagadnień naszego bytu. Przedmioty ujęte są w niewielką liczbę godzin, co zmusza profesorów nietylko do specyalnego ich opracowania, ale uczy ich cennej sztuki wykładów zwięzłych: rzecz nieoceniona wszędzie, a zwłaszcza u nas.

Jeżeli niełatwo było znaleść odpowiednich profesorów, — a szukał ich zasłużony dyrekor Szkoły w całej Polsce — to niemniej trudno było o właściwy materyał wśród uczniów. O potrzebie wiedzy politycznej mówi młodzież nasza już dużo, ale zbyt często chciałaby ją mieć bez większych wysiłków. Szkoła nauk politycznych — według pospolitego wśród młodzieży mniemania — ma dawać możliwe dla umysłu, w zajmującą formę ujęte konsyderacye polityczne, ale broń Boże — prawa, administracyi, skarbowości, statystyki, historyi, geografii, bo to są rzeczy nudne, zwłaszcza, gdy ich trzeba się uczyć, nieraz uczyć na pamięć, a nie poprzestać tylko na lekturze. Ta niechęć do poważnego wysiłku, pragnienie zdobywania choćby powierzchownych wiadomości, byle darmo, to była największa trudność Szkoły. Szczęściem, pokonano ją w niemałej mierze — i w drugim roku istnienia Szkoła mogła się wykazać garścią młodzieży pracowitej i poważnie pojmującej swe obowiązki. Było zapisanych w drugim roku 28 osób; nie jest to wiele, ale na początek dość: Szkoła paryska nie miała ich więcej, gdy Boutmy budował swoje dzieło. Największej liczby dostarczyło Królestwo (14) i Litwa (7), po nich szły Galicya (3), Poznańskie (3) i Prusy zachodnie (1). Przeważali synowie inteligencyi miejskiej (13) i ziemiaństwa (9), ale byli też synowie drobnych rolników, kupców i rzemieślników. Z pośród słuchaczów 8 uczęszczało równocześnie na filozofię, 4 na rolnictwo, 3 na prawo. Do egzaminów przystąpiło z końcem roku 14 słuchaczów i słuchaczek.

Nowością — jak się okazało — bardzo pożyteczną były seminarya obowiązkowe, prowadzone codziennie przez asystentów Szkoły: d-ra R. Rybarskiego (ekonomia, skarbowość, statystyka) i d-ra B. Winiarskiego (prawo konstytucyjne porównawcze). Wykłady w salach, użyczonych gościnnie przez Uniwersytet Jagielloński, odbywały się w godzinach wieczornych, od 5 — 7.

Szkoła została założona przez Towarzystwo, w znacznej części z profesorów wszechnicy Jagiellońskiej złożone. Do zarządu wchodzą obecnie: prof. Michał Rostworowski, jako przewodniczący, prof. Wł. L. Jaworski, prof. Wł. Czerkawski, prof. Kutrzeba, dr. Winiarski. Dyrektorem Szkoły jest prof. Rostworowski, który wielkie swe zasługi dla sprawy politycznego wykształcenia społeczeństwa pomnaża wciąż nieustającemi, wytrwałemi zabiegami, ofiarną pracą i szczerą troską o dobro młodzieży. W uznaniu wartości Szkoły przyznał jej niewielką subwencyę Sejm, a za nim rząd; wystarcza to na dzisiejsze skromne potrzeby Szkoły, gdy budżet jej sięga kilkunastu tysięcy koron, ale dalszy jej rozwój, zwłaszcza, gdy chodzi o bibliotekę, czytelnię, uwalnianie uboższych słu-

chaczów od opłat, jest poważnie przez brak większych funduszów skrępowany. Otwiera się tu pole dla ofiarności prywatnej. Gdy znaczne ofiary płyną na Akademię, Kasę Mianowskiego, Towarzystwa naukowe,— oto jeszcze jeden cel, godny wydatnego poparcia. Szkoła bowiem ma wszystko po temu, by usprawiedliwić zaufanie tych, co ją znają i popierają, i by trwale zapisać się w dziejach oświaty politycznej naszego narodu.

*Kraków.* *W.*



# Żywioł polski i obcy w Warszawie.

(Na zasadzie ostatnich danych cyfrowych).

P. Józef Kończyński nie przestaje wypytywać cyfr o rozwój naszego społecznego życia i ogłasza oto rezultaty drugiej już swej ankiety. Cyfry wogóle są gadatliwe i z tego powodu trzeba być z niemi ostrożnym. Lekkomyślnego łatwo w błąd one wprowadzą, jak to już tyle razy uczyniły p. Jesipowowi, słynnemu ze swych omyłek profesorowi statystyki warszawskiego uniwersytetu, który raz ogłosił był poważnie, że to chłop nasz jest głównym hodowcą bydła w kraju, a drugi raz, że oświata rozwija się w Królestwie nad wszelki wyraz świetnie. P. Kończyński, jak się zdaje, nie uczył się statystyki u tego niebezpiecznego „uczonego", a jeżeli miał to nieszczęście, to, po złożeniu egzaminu swego, zapomniał coprędzej metod, które mogą badacza wystawić jedynie na śmieszność i szyderstwo ludzi nauki. Nie kieruje się on żadną tendencyą; śledzi prawdę, jak ona mu przed oczyma staje; dostarcza materyału pewnego, choć, być może, że i podlegającego tu i owdzie poprawce przy kontroli i krytyce ściślejszej.

Wyniki statystycznej ankiety p. Kończyńskiego są bardzo ciekawe.

Ilu nas jest w Warszawie?

Oto pierwszy przedmiot troski naszego statystyka. A przedmiot to poważny, albowiem coraz częściej słyszymy niepokojące głosy o wyradzaniu się Warszawy, o jej rosnącym charakterze kosmopolitycznym, o zatracie charakteru miasta polskiego. Nic nam pewniej o tem wszystkiem nie powie, nad statystykę. Cóż więc powiada statystyka? To naprzód, że ludność naszej stolicy, w granicach jej rogatek (na takim terenie operuje Wydział statystyczny miejski, pod kierunkiem umiejętnym p. Adama Zakrzewskiego zostający), od roku 1877 urosła prawie trzykrotnie.

Było — *308,000.*
Jest — *797,000.*

Otóż największy wzrost stosunkowy w tej liczbie ostatniej wykazuje ludność prawosławna. Z 10 tysięcy wzrosła ona do *32* tys. Ale ta ludność posiada pewną szczególną cechę, przez statystykę uchwyconą: jest to najruchliwsza, najmniej do osiadłości okazująca chęci i dążenia, najłatwiej z miejsca na miejsce przenosząca się kategorya warszawian. Ludność żydowska stanowi pod tym względem jej przeciwieństwo. To kategorya najmocniej osiadła w mieście, najmniej się przenosząca z miejsca na miejsce. Było jej w 1877 roku — 102 tys. Jest jej w roku 1911 (ostatnie dane autora sięgają tego właśnie czasu) — 301 tys. Ludność katolicka urosła w tym czasie ze 180 tys. do 443 tys. Więc—gdyby wszystkie kategorye ludności niekatolickiej dodać w jednę sumę, to jeszcze suma ludności katolickiej przeniosłaby je o 100 tys. Ale przecież liczba ludności protestanckiej, wyrażająca się przez 17 tys., w olbrzymiej większości wyraża ludność polską. Obie nasze gminy reformowane są polskie i za takie się mają.

Przypomnijmy sobie badania statystyczne p. Wasiutyńskiego nad żydowską ludnością, z których wypadło, iż napływ żydów ze wschodu nie dał się, bynajmniej, odczuć w liczbach. Jeżeli ilość jakaś poważniejsza dostała się tą drogą do naszego kraju, to, z drugiej strony, równa mniej-więcej ilość żydów, już tu mieszkających czas pewien, wyemigrowała z kraju. Dotyczy to całego kraju, ale o ile to dotyczy Warszawy samej, należy przypuścić, jak mniemamy, kondensacyę żydów, ściągających tu z prowincyi. Polska ludność Warszawy powiększyła się od 1877 roku 2,4 razy, tymczasem żydowska *3,2* razy. P. Kończyński pokazuje nam, jako przyczyny tego wzrostu: mniejszą śmiertelność śród żydowskich dzieci i większą długowieczność u żydowskich starców. Pokazuje nam też jednak, wbrew powszechnemu niemal mniemaniu, mniejszą płodność u żydów, aniżeli u katolików. Imigracyę żydów z prowincyi do Warszawy wypadnie przyjąć za hypotezę dość prawdopodobną. Ale też ta imigracya nie może wzrastać w nieograniczony sposób.

W każdym razie góruje nad temi danemi i temi rozumowaniami fakt niezmiernie niepokojący: o wiele większy przyrost w Warszawie ludności żydowskiej, aniżeli chrześciańskiej w ostatnich czasach.

Ludność protestancka znajduje się w Warszawie w widocznym zaniku. Od 1877 do 1911 wzrosła z 15 tys. do 17 tys. Ponieważ ludność miasta wogóle powiększyła się przez ten czas prawie trzykrotnie, protestanci zmniejszyli się więc stosunkowo więcej, aniżeli dwukrotnie. Dowodzi to niezawodnie dwóch rzeczy: 1) iż protestanci wsiąkają w ludność katolicką, co się odbywa drogą mieszanych małżeństw, których dzieci są chrzczone w katolicyzmie, i *2*) zupełnego niemal zatrzymania imigracyi niemieckiej do Warszawy. Ponieważ ta imigracya była dość silna w pierwszej epoce rozwoju naszego przemysłu, należy przyjść do przekonania, że wszystkich kategoryi pracowników przemysłu umiemy już sobie dostarczyć z narodowej naszej masy.

Ludność maryawicka jest ludnością polską. Jednak narodowe poczucia tej ludności najmniej są nacechowane i już z pewnością najbardziej opóźnione. Drobna liczba maryawitów w Warszawie wprawdzie żadnego na charakter miasta nie może wywrzeć wpływu. Jednakże dane, dostarczone przez p. Kończyńskiego, tak są charakterystyczne, że nie możemy się tu powstrzymać od ich zanotowania w nawiasie niejako. Otóż w r. 1910 stała się w naszem mieście rzecz bardzo niezwykła: ludność katolicka spadła w sposób niezrozumiały i niepokojący. Z *429* tys. zsunęła się przez rok jeden na 418 tys. Tymczasem przez ten sam rok ludność maryawicka z *2818* wyznawców skoczyła na *7002*. Rok następny bezpośrednio przynosi jednak korektywę tych statystycznych stosunków: katolików mamy w 1910 roku 443 tys., a maryawitów tylko *2304*. A więc maryawityzm w jednym tylko roku stracił w Warszawie przeszło połowę wyznawców. Potwierdza to ogólne przekonanie o bardzo szybkim upadku maryawityzmu.

Dane statystyczne p. Kończyńskiego mówią nam o rozkładzie ludności żydowskiej wedle cyrkułów: to, cośmy już wiedzieli dokładnie z list wyborczych podczas ostatniego głosowania na posła do Dumy. Mianowicie, że żydowska ludność tworzy u nas rodzaj ghettów, skupiając się po lewej stronie Wisły w dwóch środowiskach, z których dla jednego linią magistralną jest ulica Pańska, dla drugiego — Nalewki i ulica Gęsia. Czy taka kondensacya powiększa niepolskość Warszawy, czy ją zmniejsza? Nam się wydaje, iż zmniejsza. Taki ustrój miast leży w historycznej tradycyi miejskiego rozwoju miast Europy. Prawny ustrój ghetta wyrażał dawniej, jak to dziś na Warszawie sprawdzić możemy, gdzie żaden przepis prawny nie tamuje ruchu i rozmieszczenia ludności żydowskiej, że tam nie o prześladowanie i skrępowanie żydów chodziło w gruncie rzeczy, lecz o układ życia miejskiego, wynikającego ze swobodnej natury dwóch ludności odrębnych.

Statystyka w dwojaki sposób mówi nam o zachowywaniu naturalnem tej odrębności u warszawskich żydów: 1) wskazując na rozkład ich w Warszawie w ogniskach skoncentrowanych, wyodrębniających się samem nagromadzeniem żywiołu żydowskiego w oddzielnych punktach miasta; *2*) podając następujące dane narodowościowe z rozwoju żydów w Warszawie: w 1882 r. żydów w Warszawie było tylko 2,62% z pośród ludności wyznającej mozaizm, a w roku 1897 już 28,28%. Odpowiednio

do tego spadają liczby stosunkowe katolików i polaków w tych latach. Należy z tych zmian wyprowadzić wniosek, iż separatystyczny prąd żydowski objawił się tu bardzo wcześnie już, bo w roku 1897, i nie był w żadnym wyraźnym stosunku do zachowania się polskiego społeczeństwa, albowiem antysemityzm, płynący z rozwoju narodowo-demokratycznej grupy, objawił się dopiero po 1906 roku, a ruch bojkotowy dopiero po wyborach Jagiełła w 1912 roku.

Cóż więc wywnioskujemy o polskości Warszawy, mając ten bogaty materyał faktyczny pod ręką, jakiego nam dostarczył p. Józef Kończyński?

Iż głosy pesymistyczne, jakie słyszymy coraz to częściej o zatracaniu polskiego charakteru Warszawy, niezawodnie mają uzasadnienie. Oparte są na przelotnych wrażeniach, są teraz potwierdzone przez gruntowne fakty. Ludność rosyjska wzrasta stosunkowo niezmiernie szybko. Ale są to głównie funkcyonaryusze, a więc napływ lotny i do odpływu skłonny — przy pierwszym awansie. Z 30 tys. rosyan tylko półtora tysiąca zarobkuje u nas w przemyśle i handlu. Imigracyi niemieckiej niema. Tembardziej jakiejkolwiek innej zagranicznej. Liczni żydzi stanowiący żywioł odrębny, bardzo swoistą, są osiadłym żywiołem; dawniej kontentowali się oni granicą osiadłości; dziś wyprowadzają z niego konsekwencye w formie praw i pretensyi. Liczba staje ta przed nami w formie bardzo niepokojącej.

*Albin Pawłowski.*

# W kijowskim cyrku.

Kiedy bawiłem w Kijowie, zdarzyło się, że nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem do cyrku.

I zrobiłem dobrze, albowiem w cyrku brutalność natury ludzkiej zdradza się bezwstydnie, zdradza się odruchowo.

W cyrku kijowskim można się było także wiele nauczyć!

W żadnym cyrku na świecie nie widziałem tylu błaznów, co tutaj — i tyle błazeństwa zarówno ze strony artystów, jak i samej publiczności.

Oto trzeba przy tej sposobności powiedzieć, że na szerokim świecie błazen cyrkowy, ten słynny „głupi August“, już nieco wyszlachetniał. Ukazuje się w swej dawnej postaci rzadko, coraz rzadziej, jakby tylko dla podtrzymania tradycyi cyrkowej. A zresztą ma już pretensye do tego, żeby być typem charakterystycznym, komicznym — a nie błazeńskim.

Ale w kijowskim cyrku błazen i najpospolitsze, najtrywialniejsze błazeństwo króluje w całej pełni. Przy każdej niemal sposobności zjawiają się ich całe chmary z twarzami upudrowanemi, w pociesznych strojach, z całym zapasem ordynarnych „kawałów“, pomiędzy któremi bicie po twarzy i plucie w oczy należy do stałego repertuaru.

Ile razy błazen błaznowi wymierzy ognisty policzek, cały cyrk huczy z zadowolenia:

— A to mu dał!

Jeśli na arenie cyrkowej przez dłuższy czas błaźni nie ukazują się, wtedy górne piętra okazują widoczne zniecierpliwienie. Rozlegają się świsty, tupanie nóg i słychać namiętne okrzyki, wywołujące nazwiska ulubieńców.

No i po chwili są błaźni na arenie. Oto już jeden z nich zamierzył się na drugiego, a trzeci czwartemu plunął w ucho i, ku uciesze publiczności, opowiada, że wziął ucho za spluwaczkę (sic!).

Nie pozwala także publiczność błaznom próżnować.

Widziałem, jak podczas sprzątania dywanu, potwornie umalowany błazen, z czubem rudych włosów na głowie, stanął i zamyślił się na chwilę. Z jego twarzy, umalowanej szminką, wyjrzała twarz inna, oczy patrzyły przed się zadumane.

Ale publiczność cyrkowa tego nie lubi. Natychmiast więc ozwały się niecierpliwe, złe głosy:

— Hej, ryży, pomahaj!

Błazen drgnął, wywinął natychmiast kilka kozłów, zaczął się plątać między lokajami, a publiczność zadowolona z siebie i błazna, wołała:

— Brawo, ryży, brawo!...

Podczas drugiej części programu zrobiła się ni stąd, ni zowąd awantura.

Na arenie występowała żonglerka, która, między innemi swojemi popisami, rozrzucała pomiędzy publiczność pomarańcze, a' odrzucone z powrotem, chwytała na ostry koniec szabli.

Najpierw rzucała pomarańcze w pierwsze rzędy krzeseł, potem coraz wyżej i wyżej.

Na drugiem piętrze siedziało dwóch żydów a obok nich człowiek w wielkiem futrze i czapce kozackiej. Kiedy żonglerka rzuciła pomarańczę w tę stronę, wychyliły się po nią trzy pary rąk. Żydowskie ręce były zręczniejsze; chwyciły pomarańczę i odrzuciły ją z powrotem.

Nie podobało się to mocno człowiekowi w czapce kozackiej. Czuł się widocznie obrabowanym ze swej przyjemności. Natychmiast podniósł się z miejsca i zaczął wymyślać staremu żydowi, którego wargi drżały i napróżno siliły się na uśmiech ironiczny.

Cały cyrk patrzył w tę stronę, aż wreszcie ze stu piersi huknął jeden przeraźliwy okrzyk:

— Bit‘ żydów, bit‘ żydów!...

A potem znowu:

— Piat‘ rublej za żyda, piat‘ rublej!...

Człowiek w czapce kozackiej przechylił się przez parapet i z gestem kabotyna posyłał namiętne całusy.

Patrzyłem na to szeroko otwartemi oczyma, wstydziłem się sam nie wiem za kogo i mimowoli przypomniały mi się jeremiaszowe skargi dziennikarzy petersburskich i kijowskich, którzy uskarżali się tak bardzo na nieludzki bojkot warszawski.

Ale kiedy dziś przypomina mi się znowu ta scena, przypomina mi się także ostatnie namiętne wystąpienie trybuna liberalizmu rosyjskiego.

Jakże żałuję, że nie mogłem się znaleść w pobliżu jego znakomitej osoby, właśnie wtedy, kiedy brzmiały te, tak proste a treściwe okrzyki:

— Piat‘ rublej za żyda!...

Mógłbym wtedy w skromny sposób zwrócić jego uwagę na pewną, dość ciekawą, okoliczność.

— Ach, pośle Rodiczewie, pocóż zapędzać się w swej wizyi kulturalnej tak daleko, kiedy tyle wdzięcznego pola jest tak blizko...

*Stanisław Dzikowski.*

# Jawnogrzesznica przed sądem.

*Refleksye twórcy „Maryi Magdaleny“, Gustawa Daniłowskiego, nad krytykami, które pojawiły się w prasie o jego powieści, zasługują niewątpliwie na uwagę.*

„Marya Magdalena“, idąc w świat, przewidywała, że wypadnie jej stanąć przed trybunałem krytyków.

W liczbie sędziów spodziewała się znaleźć i mężów sprawiedliwych i faryzeuszy, ale wiedziała, że brak tam będzie Mistrza, który by boskiem słowem za to, iż „wiele umiłowała“, błędy jej odpuścił.

Podczas procesu postanowiła milczeć, zważając, iż wystarczają akta jej sprawy, które zredagowałem na 370-ciu stronicach druku i którym nic już dodać, ani ująć nie można. Oczekiwaliśmy oboje na wyrok, ale oto pokazało się, iż zdania sędziów są tak podzielone, tak niejednokrotnie biegunowo sprzeczne, że trudno spodziewać się, by do jakiegoś porozumienia, jakiegoś kompromisu dojść mogło. Bo oto, naprzykład, gdy poważny „Humanista“ pisze: „Drugi okres jej (Magdaleny) życia, w którym przepala ją ekstaza religijna, przedstawiony zajmująco, ale pierwszy lśni tak pysznemi barwami i blaskami języka, na jakie może dotąd nikt się nie zdobył. W opisach wdzięków pięknego ciała i jego namiętnych drgań Daniłowski jest nieporównany. Każda scena stanowi skończony obrazek niezmiernie gorącego kolorytu, wobec którego Owidyuszowskie ilustracye do *Sztuki kochania* są mdłemi bajkami eunuchów. A nawet najbardziej pożerane przez czytelników karty „*Dziejów Grzechu*“ bledną i plamią się pospolitemi skazami wobec zmysłowych paroksyzmów „Maryi Magdaleny“. Gra w niej potęga żywiołu, która daje światu ludzkiemu najtrwalsze istnienie i najwyższą rozkosz“.

Krytyk z „*Nowej Gazety*“ nie widzi w tej części żadnej gry żywiołu, nie dziwi się, że „taki podręcznik jawnogrzesznictwa“, zupełnie, jego zdaniem, zbyteczny, nie podobał się prokuratoryi krakowskiej, która książkę skonfiskowała. Uważa, że dopiero w drugiej części książki ujawnia się pierwiastek poetycki i, jakby pragnąc zapobiedz odmiennym zdaniom, oświadcza, że wszelka dyskusya w tej sprawie będzie „przeważnie jałową“.

Ambasador literatury polskiej w „*Mercure de France*“, podnosząc zalety powieści, „która ujawnia nowe, nieprzewidywane strony talentu autora“, podkreśla, że „wykazałem wiele taktu i subtelności w przedstawieniu wizerunku Chrystusa, każąc Mu się przesuwać przed oczyma naszemi w postaci promienia łaski, który wznieca światło w ciemnościach życia.

Jest Zbawicielem, najwyższą otuchą wszystkich upadłych i wydziedziczonych. Doprowadza do rozpa-

czy i rozwiera iluzye wszelkich silnych i ambitnych Judaszy, którzy liczyli na królestwo boże w materyalnem tego słowa znaczeniu, dążąc do władzy, zaszczytów i panowania". „W powieści — ciągnie dalej—znać wpływ zarówno Flaubert'a, jak Anatola France'a, oraz Piotra Louis'a. Nie posiadając potęgi stylu pierwszego, ani przenikliwej, filozoficznej ironii drugiego, ani olbrzymiej klasycznej kultury trzeciego, autor „Magdaleny" zdaje się przewyższać tych trzech mistrzów słowa ogniem uczucia, zabarwionym nieuleczalną melancholią słowianina".

Inny polski miesięcznik, jakby uwzględniając okoliczności, że wpływ trzech tak różnorodnych talentów nie da się pomyśleć, redukuje go do dwóch. Pierwszą część powieści uważa za pełną „poplątań i bezplanowości" — drugą „pisaną, jakby z musu. Judasz jest postacią żywą i wymownie skreśloną, ale przypomina agitatorów bojówki, oświetlony jest refleksyami obserwacyi z dziejów P. P. S.... w dniach ubiegłej rewolucyi i, jako taki — zdaniem recenzenta— winien być przeniesiony z tej powieści do noweli o rewolucyonistach, gdzieby znalazł prawdziwe łożysko rzeczywistości. Podporą powieści są opisy, przeważnie świetne".

Niejaki p. Spectator—recenzent krakowski — powiada, że prokuratorya (która, korzystając, iż tylko niektóre ustępy „Magdaleny" zostały zimunizowane w parlamencie, skonfiskowała ją powtórnie) fatygowała się nieporzebnie. „Powieść ta bowiem konfiskuje się sama przez się, jako nie należąca do literatury, lecz do owych zeszytowych, dziesięciogroszowych wydawnictw, które stanowią ulubioną lekturę lokai i pokojówek". Przy tej sposobności pomawia mnie o impotencyę fizyczną. Z tej kompromitującej sytuacyi wybawia mnie Dr. Woroniecki świadectwem, że jest wręcz przeciwnie, że jestem raczej „rozwydrzonym satyrem", który, „chłonąc rozkosz, jak druga Androgyne, bierze żywy, bezpośredni udział — to z Decyuszem Mucyuszem, Judaszem, to z Deborą, Melittą, Korynną, to—i przedewszystkiem — z Maryą Magdaleną w obfitych jej epizodach miłosnych". A serdeczny mój żal, iż nie miałem sposobności zażywać słodyczy z orszakiem tak pięknych jawnogrzesznic, łagodzi zdaniem, iż „z kart książki rozlega się tryumfalna wrzawa zwycięskiego instynktu, warem krwi rozjuszonej i spazmatycznym szlochem rozkoszy pisana jest „Marya Magdalena".

Pewnemu noweliście jedynie zakończenie przedstawia się, jako „pomyślane świetnie i, zdradzające mocny *pazur ,d'un romancier de qualité"* — zakończenie, które inni trzej recenzenci nazywają: „niesympatycznem", „niesmacznem", „brutalnem".

Krytyka p. Kadena jest owocem głębokiego namysłu. Zdaniem jego: „dzięki temu, że tragedya Chrystusa rozgrywa się w sercu Magdaleny, niejako w łonie bezmiernej radości życia, w nurcie najbezkłopotliwszej chęci wesela, zagadnienie ofiary nabiera nowych zgoła barw, rzutów i uskoków".

Tchnącą żywą sympatyą dla „Maryi Magdaleny" pracę swą p. Kaden kończy w następujący sposób: „Język, bogactwo porównań, bujność opisów stanowczo niespotykane dotąd w takiej sile u Daniłowskiego.

Tak pod tym względem, jak pod względem zwartości budowy, moglibyśmy powiedzieć, że Daniłowski prześcignął samego siebie, gdybyśmy nie wiedzieli, że człowiek talentu i pracy daje zawsze więcej, niż najbardziej wymagająca krytyka przewiduje. W ciekawej literaturze ewangeliczno - religijnej należy się „Maryi Magdalenie" pierwszorzędne miejsce. Napięciem uczucia, siłą miłości wychyla się jednak ta książka poza twarde ramy klasyfikacyi literackich i głosi piękne, mocą wezbrane słowo wszystkim, dla których sławne legendy nie są bałwanem kultury, lecz zdrojem doświadczenia i wiary".

Na miano istotnego *„votum separatum"* zasługuje sprawozdanie w *„Myśli Niepodległej"*, której redaktor jest może najbardziej uprawniony do zabierania głosu w sprawie „Magdaleny".

Po szeregu cennych uwag co do tematu, p. Niemojewski, będąc zdania, iż mniej jest interesującą rzecza, czy dzieło sprawozdawcy podobało się, lub nie podobało, jak pomożenie publiczności do wyrobienia sobie własnego zdania, w bardzo oryginalny i umiejętny sposób przeprowadza swój punkt widzenia. Gorąco występuje przeciwko zarządzeniu prokuratoryi, które przeszło bez wrażenia w prasie, za co winienem panu Andrzejowi Niemojewskiemu wdzięczność.

Oto wiązanka głosów w sprawie „Maryi Magdaleny" i jej otoczenia, które doszły do uszu moich. Gdybym był człowiekiem zarozumiałym i wybrał z tego dziwacznego bukietu same kwiaty, wywiódłbym „Maryę Magdalenę" z trybunału tryumfalnie, w zwycięskim, wspaniałym wieńcu na jej ślicznej głowie.

Gdybym był hipochondrykiem i wyciągnął same ciernie, po napisaniu tak lichej powieści, wypadałoby mi wziąć stanowczy rozbrat z literaturą piękną, postarać się o stanowisko recenzenta i ferować wyroki, rozdawać stopnie i rangi autorom, którym bronić swoich dzieł nie przystoi.

Stanowisko recenzenta uważam w prawdziwem tego słowa znaczeniu za zbyt skromne, a na krytyka nie posiadam odpowiednich kwalifikacyi.

Krytyk, prócz olbrzymiej erudycyi nietylko w dziedzinie literatury, ale i w innych dyscyplinach wiedzy, musi być obdarzony umysłem zdolnym zarówno do analizy, jak i do syntezy, oraz subtelną, o szerokiej skali wrażliwością artystyczną. Sumienny, wolny od wszelkich osobistych animozyi, krytyk winien posiadać pewną dozę szacunku dla najskromniejszego wysiłku artysty. Tego rodzaju zdolności i właściwości charakteru rzadko chodzą w parze. To też krytycy w wielkim stylu są zjawiskiem niepowszedniem.

Z nielicznego pocztu naszych krytyków jeden, mojem zdaniem, odpowiada w najwyższym stopniu wszystkim wymaganym warunkom. Po przeczytaniu „Maryi Magdaleny" zaszczycił mnie listem, w którym powiada, że: „rzecz ta zasługuje na obszerniejsze studyum, więc nie można jej zbywać fejletonem".

A z paru uwag, zrobionych przy tej sposobności, dowiedziałem się więcej o powieści, niż z niejednej wieloszpaltowej recenzyi.

Powyższe zestawienie głosów prasy, oraz śmiałe wyznanie, które odważam się uczynić, a mianowicie, że ostatnią mą powieść uważam za krok naprzód, w rozwoju mej twórczości, są drobną cząstką jeszcze zuchwalszego zamiaru, do którego usiłował mnie skłonić jeden z przyjaciół, człowiek nauki. Powołując się na tak zwane autoreferaty, przyjęte w świecie naukowym, żądał, bym w sprawie „Maryi Magdaleny", zwłaszcza wobec jaskrawej różnicy zdań, zabrał głos. Dowodził, że taka autokrytyka mogłaby wypaść bardzo ciekawie, mogłaby się stać cennym dokumentem dla ludzi interesujących się sekretami twórczości. Ale gdym, przekonany, próbował plan uskutecznić, okazało się, że w danej chwili nie jestem w stanie go wykonać.

Karty książki przysłaniają mi jeszcze szczątki niewygasłych o niej marzeń. Stosunek mój do utworu dałby się porównać do stosunku matki do nowonarodzonego dziecka w chwili, kiedy jeszcze krew rodzicielki tętni w sercu płodu.

W takich warunkach o bezstronnej ocenie dzieła mowy być nie może.

Kiedyś jednak, kiedyś, gdy już odejdę od tej powieści na dystans tak daleki, że będę ją mógł czytać, jakby dzieło obcego autora, zdobędę się może na taką autokrytykę, przeczytam ją sobie półgłosem i spalę, podobnie, jak Marya Magdalena, odchodząc od świata za majakami zbolałej duszy w dal samotną, spaliła pamiątki przeżyć rozkosznych, które można czerpać nietylko z krynicy miłosnych, ale i ze zdroju twórczych upojeń.

*Zakopane.* *G. Daniłowski*





Bohdan Nowakowski. Studyum.

# O teatr ludowy w Warszawie.

*(Z rozmów i wrażeń).*

Nikt zapewne nie zechce zaprzeczyć potrzebie powołania do życia w Warszawie teatru ludowego. Jest to już kwestya tak bardzo znana, tak prosta, że szersze jej rozpatrywanie musi z konieczności posługiwać się frazesami bardzo znanymi, jak kształcenie mas, zdrowy pokarm dla ludu i walka z kinematografami.

Nic więc dziwnego, że kilka głosów, które się odezwały w tej sprawie ze strony grona organizującego tę sprawę, nie mogły w chwili obecnej przynieść nic nowego. Wszystko, coby w tej sprawie mogło być nowością, musiałoby być urzeczywistnione i wykonane w sposób najzupełniej konkretny.

Ale wiemy już dobrze, co to znaczy. Teoretyczne wynurzenia poprzedzają zwykle cele praktyczne. Mówi się najpierw: trzeba to i to zrobić dlatego i dlatego — a potem mówi się: drogi narodzie, daj wobec tego pieniędzy, obłóż się dobrowolnym podatkiem. Bowiem teatr ludowy tak, jak go rozumiemy, nie może istnieć bez subwencyi i poparcia.

A więc nowe składki albo nowa wielka ofiara jakiegoś szlachetnego ofiarodawcy.

W tem stadyum sprawa zaczyna się załamywać zwykle. Społeczeństwo nasze, które wedle najściślejszych danych statycznych, należy do najbardziej ofiarnych w Europie, ma jednak tyle potrzeb, że wszystkiemu nastarczyć trudno, a przecież nie wiadomo, co najważniejsze.

Zdawałoby się tedy, że organizatorowie zamierzonego teatru ludowego w Warszawie będą mieli ciężki orzech do zgryzienia. Obiegały już po Warszawie najrozmaitsze projekty, jedne od drugich fantastyczniejsze, które świadczą o tem, że ta hyperprodukcya pomysłów nadzwyczajnych wywodzi się z braku pomysłów zwyczajnych, w urzeczywistnieniu najłatwiejszych.

Zapewne, znaleźć olbrzymi kapitał na stworzenie tak wielkiej instytucyi nie jest sprawą łatwą.

Na szczęście jednak w tym wielkim kłopocie możemy oddać gronu organizatorów pewną przysługę.

Dotyczy to odkrycia, którego dokonaliśmy niedawno.

Oto pieniądze, przeznaczone na teatr ludowy w Warszawie, istnieją — nie trzeba urządzać na ten cel żadnych kwiatków, nie trzeba ich zbierać, nie trzeba się odwoływać do szlachetnej ofiarności znanych jednostek, prześladowanych ustawicznie wciąż nowymi planami.

Posłuchajmy zresztą co mówi o tej sprawie doskonały jej znawca, p. Wiktor Czyżewicz, były prezes teatru ludowego, którego prosiliśmy o łaskawe informacye.

P. Czyżewicz, zapytany przedewszystkiem o przyczyny upadku teatru ludowego w Warszawie, odpowiedział w sposób następujący:

— Teatr ludowy upadł w okresie rewolucyjnym. Frekwencya zmniejszyła się, artyści zastrejkowali, a rząd teatr zamknął. Mimo to jednak, należy pamiętać, że podczas dwóch lat ostatnich teatr, a właściwie teatry ludowe, deficytu nie dawały. Frekwencya sięgała do 300.000 osób rocznie i tak się rozwinęła, że grano jednocześnie na Pradze i na ulicy Ciepłej. Oprócz tego były sceny letnie: na Muranowie, na Pradze, przy ul. Chmielnej i w Bagateli.

— Czyż to wszystko należało do kuratoryum trzeźwości?

— Tak, a jednocześnie ministeryum finansów wyasygnowało na budowę domu ludowego w Warszawie, wraz z teatrem, *sumę 250.000* rb. Rozpisano konkurs, na którym pierwszą nagrodę otrzymał budowniczy Kader. Kuratoryum trzeźwości porozumiało się z miastem, które ustąpiło na ten cel placu za Żelazną Bramą.

— To znaczy, że Warszawa posiada...

— Plac — kończył mój rozmówca — plany zatwierdzone, które są złożone w kancelaryi teatrów rządowych u budowniczego, ks. Massalskiego i fundusz, oddany za zapłatę długów warszawskich teatrów rządowych. W r. 1908-ym, rozkazem generał gubernatora, suma owych 250.000 rb. została zamieniona na $3^1/_2$ % listy Banku Szlacheckiego i oddana jako bezprocentowa pożyczka (208.000 rb.) teatrom rządowym na spłatę długów, z obowiązkiem spłacania jej w ratach półrocznych.

— Czy oprócz tego wszystkiego kuratoryum trzeźwości otrzymało na teatr budowy jakąś subwencyę?

— Owszem, komitet kuratoryum trzeźwości otrzymywał rocznie po 20.000 rb. od ministryum. Powstała ztąd suma *75.000 rb.*, pożyczona na dokończenie budowy soboru na Saskim Placu — która to suma powinna być komitetowi zwróconą. Przy pewnych staraniach możnaby ją dołączyć do sumy pożyczonej teatrom rządowym.

— A cóż się dzieje z dawnym teatrem ludowym na Pradze?

— Otóż właśnie — komitet kuratoryum trzeźwości posiada gmach murowany, zupełnie gotowy w parku na Pradze. Gmach ten wybudowany został przez inżyniera Stępińskiego i może pomieścić około 600 osób. Tu właśnie zwieziono wszystkie dekoracye z ulicy Ciepłej i Muranowa — tu znajduje się duża biblioteka, cenne muzykalia i rekwizyty. Jestem przekonany, że komitet kuratoryum trzeźwości oddałby ten gmach jakiemuś solidnemu przedsiębiorcy w dzierżawę. Przy ogromnym rozroście Pragi mógłby to być naturalnie wcale niezły interes. Gdyby zajęła się nim jakaś organizacya, któraby występowała pod egidą kuratoryum, wówczas teatr ten byłby również zwolniony od szóstej części. Cała ta sprawa jest tembardziej na czasie, skoro w Radzie Państwa podniesiono sprawę reorganizacyi kuratoryów trzeźwości i oddania ich pod zarząd samorządów ziemskich i miejskich. Niestety, dla miast Królestwa Polskiego zrobiono w tym projekcie ograniczenie, na mocy którego specyalny komitet będzie miał nadzór nad działalnością poszczególnych oddziałów. Oddziały te jednak będą miały zupełną samodzielność w prowadzeniu takich instytucyi, jak teatry ludowe, biblioteki, odczyty, gospody i t. d. Wogóle sądzę, że to wszystko powinno być wzięte pod głęboką rozwagę. A ci, którzy myślą nad organizacyą teatru ludowego, powinni zająć się przedewszystkiem pozyskaniem od lat już tylu martwych kapitałów...

*Hic.*

## 40-lecie pracy księgarskiej.

Wilno posiada piękne tradycye księgarskie. Okres rozkwitu trwał od końca XVIII wieku, poprzez czasy filareckie, Mickiewicza i jego następców, a skończył się przed 50 laty. Potem, skutkiem długiej opresyi, pod jaką znalazł się cały rozwój umysłowości polskiej, upadły i księgarnie. Pomimo warunków tak bardzo niesprzyjających, obudzić umiała ruch wydawniczy Eliza Orzeszkowa, której księgarnia, choć istniała tylko 3 lata (1879 — 1882), zdystansowała nawet dawne firmy. Przyczyniła się do tego i pomoc Włodz. Spasowicza, oraz trafny wybór spółpracowników. Pomiędzy nimi wyróżnił się zaszczytnie obecny jubilat, p. Wacław Makowski. Ur. w Piotrkowie 1854, po ukończeniu gimnazyum i szkoły handlowej w Warszawie, wstąpił tamże na praktykę księgarską (w r. 1873), potem w Wilnie, gdzie przed 20 laty, zyskawszy doświadczenie i głębszą wiedzę fachową, popartą energią, rzutkością i pracą, zakupił (po Krasnosielskim) księgarnię na własność i w niedługim czasie podniósł ją do pierwszorzędnego znaczenia. Pomiędzy wydawnictwami jego księgarni jest wiele, mających pomnikową wartość, jak: 9-cio tomowe „Dzieje narodu litewskiego“, dziś rzadkość bibliograficzna, „Bajarz Polski“ A. J. Glińskiego, który doczekał się 11-go wydania, znaczna ilość dzieł E. Orzeszkowej, „Zarys dziejów litewskich“ K. Skirmunta, „Szymon Konarski“ Wł. Żukowskiego i w. in. Obok zasług na polu wydawniczem, przyjmuje p. W. Makowski gorący udział w życiu obywatelskiem, na polu filantropii i t. d. To też cały inteligentny ogół naszego miasta żywo spółczuje z jubileuszem zasłużonego wydawcy i gorliwego obywatela.



Wacław Makowski.

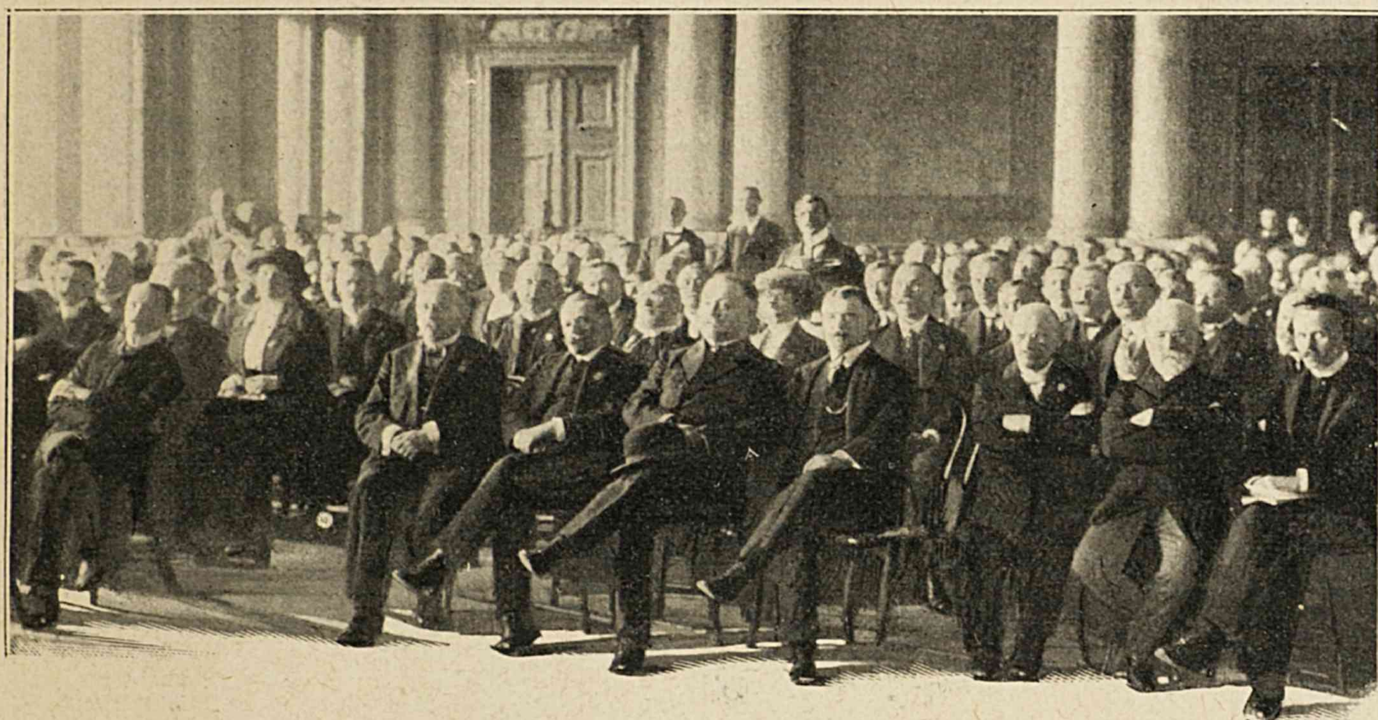
*Wilno.* *L. U.*



Pierwszy wydział Bratniej pomocy słuchaczy politechniki we Lwowie, przed 50-ciu laty.



Obecny wydział Bratniej pomocy słuchaczy politechniki we Lwowie.



Uroczystość jubileuszowa w auli politechniki we Lwowie.

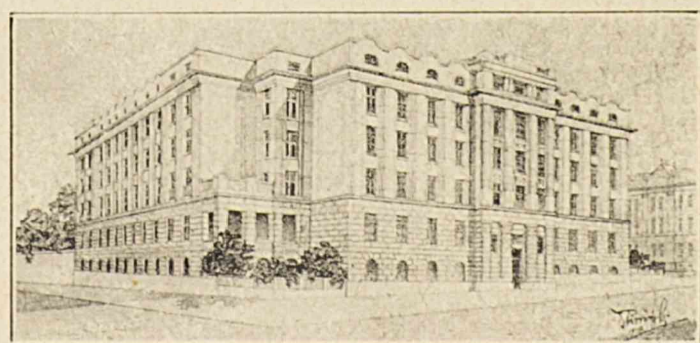


Ks. arcybiskup Bilczewski poświęca kamień węgielny pod gmach drugiego domu akademickiego dla techników we Lwowie.

# „Bratnia pomoc" we Lwowie.

Stowarzyszenie Bratniej pomocy słuchaczów politechniki we Lwowie obchodziło jubileusz półwiekowego istnienia. Powstało w r. 1863 zaraz po utworzeniu się lwowskiej Szkoły politechnicznej. „Bratnia pomoc", jako organizacya humanitarna, odegrała dobroczynną rolę w życiu całych generacyi studenckich i spełniła także niemałą misyę ogólniejszego znaczenia, dopomagając uboższej młodzieży do wybicia się na samodzielne stanowiska właśnie w najbardziej u nas zaniedbanej dziedzinie. Z czasem rozszerzył się pierwotny czysto humanitarny kierunek „Bratniej pomocy": stowarzyszenie przybrało także charakter kształcący i kulturalny w ściślejszem znaczeniu, czego wyrazem stała się Biblioteka, ogniskująca ruch umysłowy młodzieży na politechnice lwowskiej. W ostatnich latach młodzież ta zdobyła się na piękny akt samopomocy, wzniosła mianowicie Dom akademicki dla techników, skromnych na razie rozmiarów. Obecnie znajduje się w pełnym toku sprawa wybudowania takiego Domu na znacznie większą skalę, według gotowego już projektu arch. Śliwińskiego. Będzie to najpiękniejsze upamiętnienie 50-lecia jednego z najstarszych stowarzyszeń studenckich w Polsce, Bratniej pomocy słuchaczów jedynej polskiej politechniki.

*Kwów.* — *Jas.*



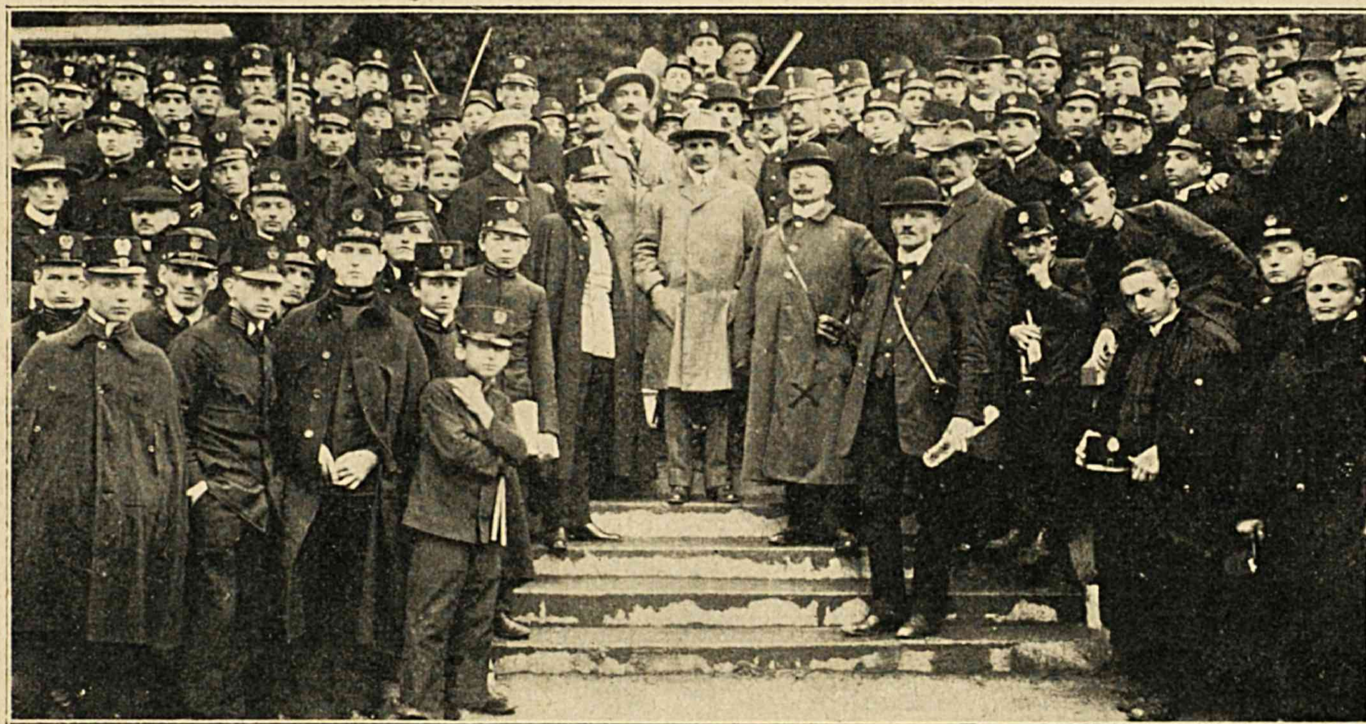
Projekt domu akademickiego studentów politechniki we Lwowie. *(Architekt Śliwiński).*

## Wystawa historyczna we Lwowie.



Prezes komitetu wystawowego, dr. Tadeusz Rutowski, otwiera wystawę pamiątek 1863 r.

## Nauka strzelania w Galicyi.



Do szkół średnich w Galicyi wprowadzono nieobowiązującą naukę strzelania, z której młodzież licznie i chętnie korzysta. We Lwowie odbyło się na zamknięcie roku szkolnego strzelanie popisowe w obecności prezydenta Rady szkolnej, p. Dembowskiego. (x)

## Wycieczka Wielkopolan w Galicyi.



Grupa ziemian i włościan z Księstwa Poznańskiego bawiła przez szereg dni w Galicyi dla zwiedzenia tamtejszych wzorowych gospodarstw rolnych. Zwiedzono gospodarstwa: hr. Potockich w Krzeszowicach, bar. Jana Goetza-Okocimskiego w Okocimiu, gospodarstwo krakowskiego „Studyum rolniczego" w Mydlnikach, oraz drobne gospodarstwa i spółki wiejskie w Łoniowy u p. St. Jasińskiego.

# Z teatru krakowskiego.

Przygotowania do kampanii jesiennej.

Nowy dyrektor krakowskiego teatru, Tadeusz Pawlikowski, rozpoczął pracę nad ułożeniem repertuaru na najbliższy jesienny, sezon. Będzie to sezon eksperymentów, śmiałych i ciekawych. Zaznaczy się to już w inauguracyi, na którą przeznaczony został — „Sułkowski" Żeromskiego. Niełatwo sobie wyobrazić tę potężną rzecz „uscenizowaną", niemniej próba wcielenia jej w kształty sceniczne została już postanowiona. Eksperyment drugi, to wystawienie dramatu — Szymona Szymonowicza, „Castus Joseph", napisanego po łacinie w r. 1587, a przetłómaczonego na język polski w r. 1597 przez Gosławskiego. Eksperyment trzeci: wprowadzenie na deski teatru dramatu Słowackiego „Samuel Zborowski". Plan inscenizacyi ma wyjść od poety St. Wyrzykowskiego. Nowy reżyser, p. Łodygowski z Monachium, opracuje kilka nieznanych u nas utworów Strindberga. Sam Pawlikowski zamierza wystawić w zupełnie nowej, własnej inscenizacyi „Hamleta", to swoje ulubione dzieło, od lat całych w Krakowie niesłyszane. Miejscową wreszcie sensacyą sui generis będzie debiut w roli dramatycznego poety — profesora ekonomii na politechnice lwowskiej, Kostaneckiego, który złożył w teatrze przyjęty już do wykonania utwór p. t. „Śpiew Franczeski". Oto kilka ciekawszych momentów najbliższej kampanii, której Kraków ze względu na nowego dyrektora oczekuje z wyjątkowem zajęciem. *Ch.*





Prof. Tadeusz Joteyko. Józef Radwański.

## Nowa szkoła muzyczna w Łodzi.

Przy Towarzystwie Muzycznem imienia Szopena w Łodzi powstała szkoła muzyczna z programem Konserwatoryum Warszawskiego. Działalność szkoły rozpoczęła się z dniem 15 stycznia r. b., a obecnie na zakończenie pierwszego półrocza odbył się popis uczniów.

Nadto zawiązała się *klasa dramatyczna* pod kierunkiem prof. A. Bednarczyka i G. Baumfelda, oraz klasa instrumentów dętych (prof. A. Januszewski). Przedmioty teoretyczne wraz z kompozycyą wykłada dyrektor szkoły.

Utworzenie tej szkoły było jednym z zasadniczych celów Towarzystwa Muzycznego imienia Szopena, które rozwija się i zdołało już zająć przodującą placówkę w życiu muzykalnem Łodzi. Ten pożyteczny rozwój Towarzystwa i świeżo założonej przy nim uczelni muzycznej zawdzięczać należy niespożytej pracy młodego ale pełnego energii prezesa, Józefa Radwańskiego, i dyrektora, Tadeusza Joteyki.

*Łódź.* *c.*




Agitacya wyborcza przed ratuszem lwowskim.

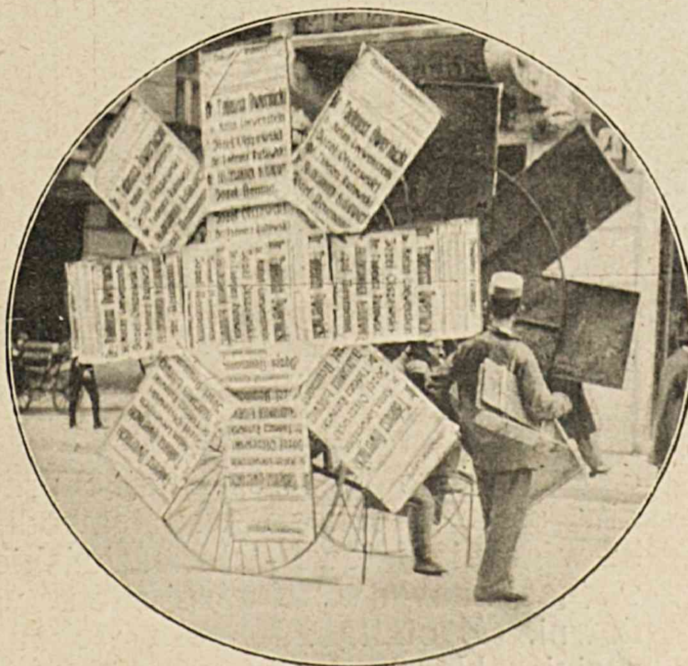
# Wybory Galicyjskie.

Sejm galicyjski jest na nowo wybrany.

Kampania wyborcza, z której w odnowionym składzie wyszło ciało prawodawcze Królestwa Galicyi, trwała tydzień, gdyż kolejno odbywało się głosowanie w kuryi małej i wielkiej własności ziemskiej, w kuryi miast i Izb handlowych. Walka istotna, żywiołowa, toczyła się tylko na wsi, o mandaty włościańskie. Tu rozegrały się boje decydujące. Wyruszyli do walki ciężko zbrojni hoplici Jana Stapińskiego, „ludowcy oficyalni“, roszczący prawo do wyłączonego przedstawicielstwa duszy polskiego chłopa, zaprawieni na tryumfach lat poprzednich, cieszący się milczącem, sympatycznem poparciem władzy. Wystąpiła zreorganizowana w ostatnim czasie i znacznie zasilona brygada chrześciańsko-socyalna, reszta niegdyś wielkiej armii ks. Stojałowskiego. Sięgnęła po mandaty włościańskie narodowa demokracya, po długim okresie prac przygotowawczych. Wystąpili na wschodzie rusini, uderzając gwałtownem natarciem na szeregi szlachty podolskiej, tradycyjnie dzierżącej sejmowe przedstawicielstwo chłopa ruskiego. Pod hasłem, rozdzierającem od roku kraj na dwa obozy, pod hasłem reformy wyborczej i paktu z rusinami, zwarły się ze sobą walczące zastępy.

Gdy wieś grzmiała okrzykami wojennemi, cicho i spokojnie „wybierały“ miasta. Tu zdawna odbywają się wybory sposobem patryarchalnym. Sprawny, wyćwiczony, niechybnie działający aparat wyborczy magistratu miejskiego, w doskonałej harmonii z żydowskim kahałem, „wybiera“ tego jedynego, koniecznego kandydata, który wyjść powinien. Uproszczona ta metoda odpowiada znakomicie nastrojowi miast naszych.

O zarysach polityki krajowej decydują w Galicyi zawsze wybory wiejskie. Tam ścierają się jakieś prądy, walczą sprzeczne opinie, potykają się bodaj ludzie o wybitnych różnych barwach. Wieś polska „zaciszna“ staje się w czasie wyborczym antytezą ideału poety z „Wesela“. Sielanka chroni się natomiast w mury miejskie. Idee polityczne, wyrażające choćby interesy grup szerszych, nie zamącają nikomu spokoju błogiej wegetacyi. Posady, w dosłownem i przenośnem rozumieniu, zastępują zasady, a komunały ideały. Tu panuje szeroki komunał demokratyczny, w którym wszystko się zmieści, nawet kandydat konserwatywny z krwi i kości, o ile jest przytem ministrem. Kandydatura, którą ustanowi kahał-magistrat, jest murowana, bez konkurencyi. Żaden śmiałek nie waży się unieść grzeszną ambicyą, aby sankcyi magistracko-kahalnej przeciwstawić opinię niezależną. Miasto galicyjskie jest zgoła apolityczne. Ten stan rzeczy ma swoje przyczyny, zarówno proste, jak niewesołe. Olbrzymi procent ludności żydowskiej, która zawsze idzie za komendą swego kahału, zacieśnia wogóle teren politycznego życia polskiego. Najsilniej bijące źródło materyalnej niezależności: handel, to domena żydów. Pieniądz toczy się do ich kieszeni, wsączany tam z rozzbrajającą beztroską przez niefrasobliwość autochtonów. Tak zwane eufonicznie mieszczaństwo polskie, jestto garść głodomorów rzemieślniczych na etacie wymarcia, tak zwana inteligencya, to rzesza urzędnicza, której „swoboda politycznego sumienia“ miewa ściśle określone granice. W zżydziałem mieście galicyjskiem brak poprostu materyału dla jakichkolwiek ugrupowań ideowych polskich, i wybory, ów najwyższy akt politycznej świadomości, mogą wyglądać właśnie tylko tak, jak wyglądają. Jest to konstytucyjna komedya, z nużącą jednostajnością odgrywana przez głowę miasta i jej semickich satelitów.



Wózek agitacyjny.

Szczęśliwy wyjątek stanowią obie stolice galicyjskie: Lwów i Kraków. Tu toczyła się rzeczywista walka o mandaty i walka o programy polityczne, a jeśli oficyalne aparaty wyborcze nie próżnowały także, posiłkując się gęsto niebo-szczykami, oraz wielostronnie i pomysłowo stosowanym terrorem, to przecież, wobec zbyt znacznego skupienia ludności, miały już przeciw sobie coś na kształt świadomej i zorganizowanej opozycyi. We Lwowie starli się ze sobą gorąco zwolennicy i przeciwnicy „takiej“, t. j. pogrzebanej reformy sejmowej. Stolica kraju nie wydała zgodnej opinii. Sześć mandatów lwowskich podzielili między siebie „bezpartyjni“, „demokraci“ i „wszechpolacy“, wśród tych ostatnich najwybitniejsi przedstawiciele wszechpolskiego obozu: dr. Głąbiński, dr. Ernest Adam. Zapasom krakowskim, po za wspólnym całemu krajowi problematem reformy, towarzyszyła ściślej lokalna, świeża, nieśmiała jeszcze, lecz wyraźnie już brzmiąca nuta protestu przeciw rządom oligarchii, złożonej z demokratów kahalnych, i metodom, polegającym na stosowaniu w życiu publicznem zasadniczego i bezkompromisowego cynizmu. Metody te zwyciężyły jeszcze raz. Izrael „demokratyczny“ utrzymał się na placu, okazał całą swą głęboko ugruntowaną potęgę, a jakby dla kompensaty za „próby rozstroju“, uświęconego porządku rzeczy doczekał się pięknej chwili, w której polityk polski odbywał specyalną pielgrzymkę na Kaźmierz, celem dokonania spowiedzi politycznej przed ludem wybranym. Stara gwardya wyszła z urny w nienaruszonym komplecie, a obok niej „człowiek nowy“, wybitny i utalentowany publicysta, Konstatny Srokowski. Ale ferment, który nieszkodliwie tym razem zakłócił sielankę krakowskich wyborów, okazuje wybitną tendencyę do trwania dalszego i dopiero w terminie nieco późniejszym będzie można osądzić sprawiedliwie, czy zachcianka „spolszczenia

## Z pośród nowoobranych posłów do Sejmu Galicyjskiego.


Dr. St. Głąbiński, (nar-dem.).


D. Abrahamowicz, (kons.).


Dr. Juliusz Leo, (demokr.).


M. Bobrzyński, (konserw.).


Józef Neuman, (bezpart.).


A. ks. Lubomirski, (kons.).

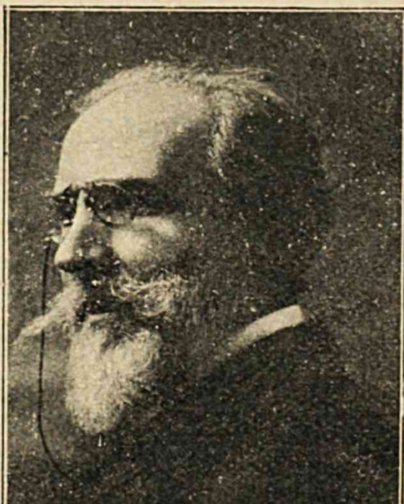

Dr. Alfred Halban, (kons.).


Edmund Riedl, (bezpart.).

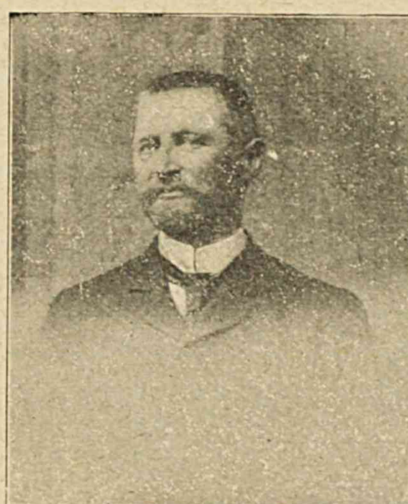

Dr. Alfred Zgórski. (lud.).


Dr. Wit. Korytowski, (kons.).


St. H. hr. Badeni, (konserw.).

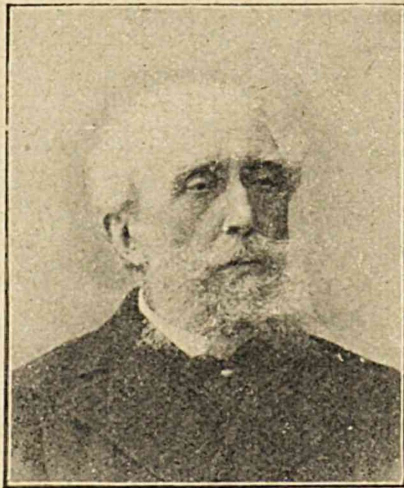

Dr. T. Rutowski, (demokr.).


Ign. Dembowski, (kons.).


Tadeusz Cieński, (kons.).


A. Zaremba Cielecki, (kons.).


Dr. J. Milewski, (konserw.).


St. hr. Tarnowski, (kons.).


St. hr. Stadnicki, (kons.).


Dr. St. Starzyński, (kons.).


Wacław Zaleski, (kons.).

Krakowa", kóra taką wesołością napełniła demokratów krakowskich. nie kryła w sobie wypadkiem zapowiedzi jakichś zmian w naszem życiu publicznem.

Wybory zmieniły znacznie fizyognomię Sejmu. Uszczupleni wchodzą do niego ludowcy, mając przeciw sobie groźnego współzawodnika w grupie ludowo - chrześciańskiej, stojącej znowu w pokaźnej sile na widowni. Z obfitą zdobyczą wchodzą rusini. Ugrupowania partyjne uległy zmianom, które wielki znak zapytania wniosą ze sobą do Izby poselskiej, gdy jesienią zbierze się ona, aby podjąć nanowo sprawę, której zniweczenie spowodowało zgon ubiegłego Sejmu.

*Kraków.* *Clar.*

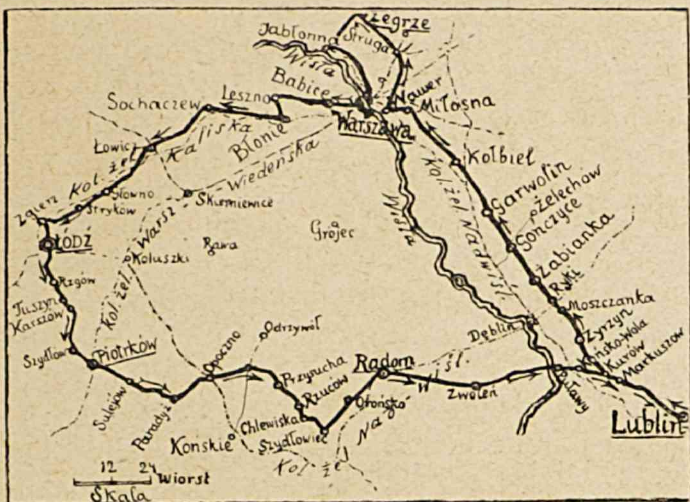
# Pierwszy „raid" samochodowy w Królestwie.

*Zdjęcia specyalnego delegata „Świata" p. Maryana Fuksa.*



*Fot. Saryusz Wolski.*

Wyjazd z parku Agrykola w Warszawie.




Mapka „raidu".



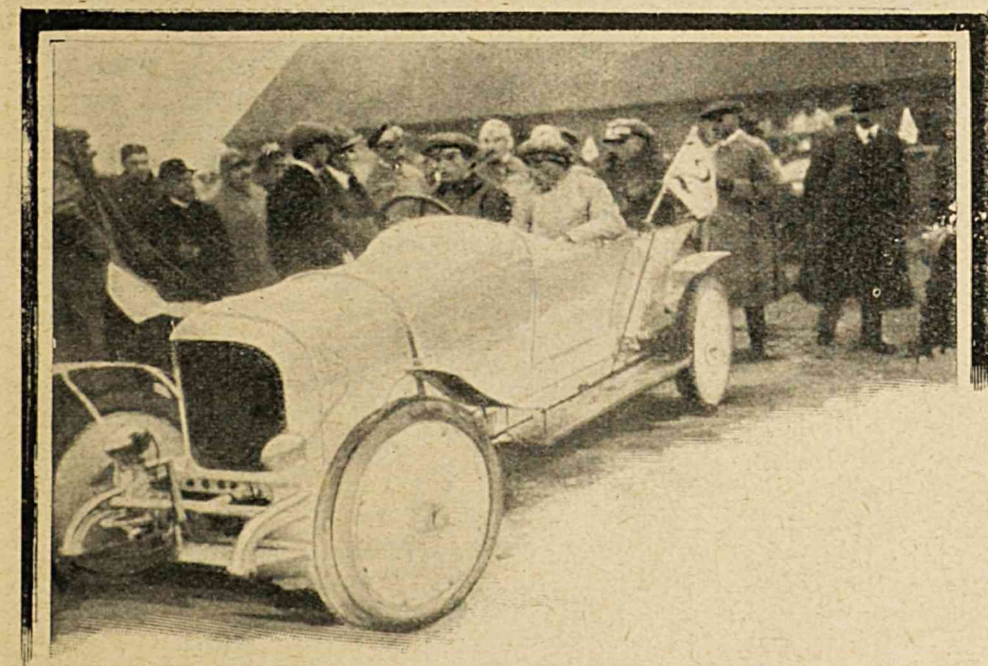
W drodze przez wieś.



Józef hr. Broel-Plater naprawia złamany resor.



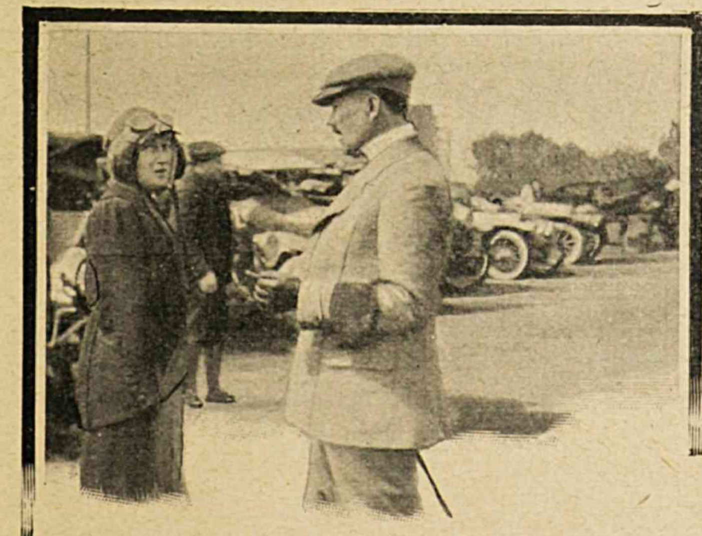
Zwycięzca, Konstanty hr. Broel-Plater (x), na samochodzie „Mercedes"



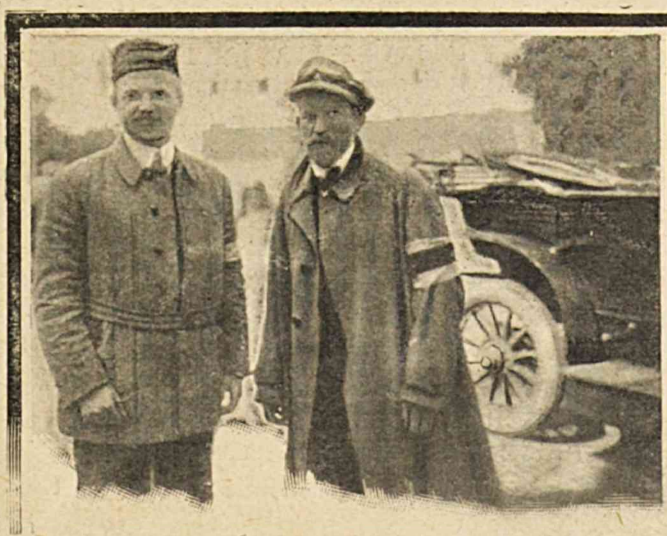
„Benz" w *kilomètre-lancé*, osiągnął szybkość 132 wiorst na godzinę.



Posiłek w Modlinie.



Jedyna uczestniczka „raidu", p. Jerzowa Zdziechowska.



Główny komandor „raidu", wiceprezes klubu Automobil., mec. Olszowski i główny starter, p. Adryan Chełmicki.



Delegat Pogotowia warszawskiego, dr. Kochanowicz.

## Skauci polscy z Galicyi.



Delegaci skautów polskich z Galicyi, którzy udali się na wielką rewię angielskiego skautingu w Birmingham.

## Kursa handlowe wieczorne dla pracownic w Warszawie.



Grupa uczennic kursów handlowych, popieranych przez Związek równouprawnienia kobiet polskich, z p. J. Bojanowską (x) organizatorką kursów na czele, podczas wycieczki szkolnej do Wilanowa.

## Nowy talent.

Podczas obchodu jubileuszowego korporacyi studenckich w Genewie, w miejscowej sali wielkiej opery dano uroczyste przedstawienie „Cyda“ Kornela. W roli Ximeny wystąpiła p. Halka Hulewiczówna, córka wiceprezesa Warszawskich Teatrów Rządowych.



P. Halka Hulewiczówna.

Dzienniki genewskie piszą z entuzyazmem o tym występie u-roczej amatorki, która w tym roku ukończyła konserwatoryum Genewskie, otrzymując złoty medal i publiczne powinszowanie *jury*.

P. Hulewiczówna równocześnie studyuje filozofię na uniwersytecie genewskim.

## Roboty ręczne, wydane przez czasopismo „Nasz Dom“.

„Maszyna w pewnej mierze tylko, zastępuje rękę ludzką, mówi nam Redaktorka wydawnictwa *Robót ręcznych*. Automatyczny jej ruch rywalizuje z szybkością, często może i dokładnością wykonania. Nie dosięga jednak nigdy tego, co stanowi urok roboty ręcznej, bo nie nadaje jej cechy indywidualizmu“.

W robotach ręcznych, w ostatnich latach pojawił się ruch zwrotny.

Szkoła Grasset'a w Paryżu chętnie uległa wpływom Anglii i dała się unieść fantazyi pomysłów Morisl'a, kładącego główny nacisk na *robotę ręczną* w najszerszem przystosowaniu.

Monachium, na swych świetnych wystawach sztuki ornamentacyjnej, szczyci się pięknemi haftami p. Maryi Brinkmann, p. Gart. Kleinhumpel w Bielefeldzie, p. A. Argerman w Dreznie i t. d. na czele działu robót w szkole sztuki stosowanej stoi, świadcząc, że odbywa się ewolucya pożądana w tej dziedzinie pracy, której hasłem jest utrzymanie świetności robót ręcznych.

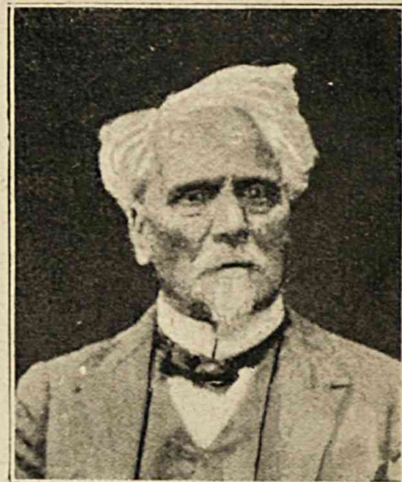
U nas, Zjednoczone Koło Ziemianek, utworzyło w tej chwili: Sekcyę Artystyczną z nieustającym konkursem na roboty kilimów o motywach swojskich, oddając przewodnictwo doskonałej znawczyni naszej ornamentyki ludowej, p. Maryi Papieskiej. P. M. Karczewska, w szkole robót dla włościanek w Szreńsku, daje własne wzory. pp. Zdziechowska, Garbińska i Kuczyńska tworzą cenne arcydzieła igłą, w haftach kolorowych, stylizując naszą florę—wspaniale.

To też uważamy za szczęśliwy pomysł redakcyi „Naszego Domu“, że powzięła myśl wydawnictwa *Robót ręcznych* w formie *całkowitych kursów*.

Pierwszy zeszyt, starannie ozdobiony okładką p. A. Duninówny, doskonale opracowany przez p. M. Skrodzką stanowi całkowity kurs koronki irlandzkiej, tak dokładny, że śledząc ryciny, których jest w tekscie 86, można się samej nauczyć tej wykwintnej roboty. Tysiące włościanek Irlandzkich zawdzięcza swój byt koronkom, które są dziś bardzo w użyciu, a których trwałość — nie zna rywalek.

## Zgon Henryka hr. de Rochefort.

2 lipca r. b. zmarł jeden z najwybitniejszych polemistów i paszkwilistów francuskich, Henryk hr. de Rochefort-Lucay, w Aix-les-Bains, gdzie przebywał na kuracyi. Rozpoczął on swoją działalność w czasopismach, jak „Charivari“, „Nain jaune“, Współpracownictwo w „Figarze“ uczyniło go sławnym. Musiał jednak je przerwać, gdyż wymagał tego rząd francuski, obrażony przez złośliwe uwagi Rocheforta. Założył więc własne pismo „Lanterne“. Cieszyło się ono wielką wziętością, gdyż ośmieszało bonapartyzm. Przed karą za artykuły, zamieszczone w „Lanterne“, schronił się do Brukseli. Jako deputowany, powrócił do Paryża. W 1873 roku, z powodu podburzania do rewolucyi, skazany na wygnanie do Nowej Kaledonii, skąd uciekł do Szwajcaryi. Wydał wtedy książkę „De Noume'a en Europe“. Po amnestyi wrócił do Paryża i założył dziennik „L'intrasigeant“. Przeżył lat 82.



Henryk hr. de Rochefort.

## Królowie pięciu wojujących państw bałkańskich.


Ferdynand, król Bułgaryi.


Piotr, król Serbii.


Konstanty, król Grecyi.


Mikołaj, król Czarnogorza.


Karol, król Rumunii.

## Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

### SPRAWY POLITYCZNE.

*Na Bałkanach druga wojna:* serbowie i grecy biją się z bułgarami; rumunowie się zbierają przeciwko bułgarom; turcy chcą również wystąpić przeciwko bułgarom.

*Bułgarya* usiłuje zażegnać wojnę na czterech frontach przez układy z Rumunią i Turcyą. Rumunia żąda całego terytoryum między Ruszczukiem a Warną.

*Wiadomości* z placu boju — sprzeczne, jak zawsze: jeżeli z Belgradu idą: pobici bułgarowie, jeżeli z Sofii: pobici serbowie, jeżeli z Salonik: zwyciężyli grecy.

*Dmitriew* wstąpił do gabinetu Danewa: wielki zwolennik wojny.

### Z NAD NEWY.

*Rada Państwa* nie chce rozpatrzeć przed feryami projektu samorządu miejskiego Królestwa. Zabiegi o to nie udały się.

*Duma*, pomimo dezorganizacyi przedwakacyjnej, uchwaliła, bez dyskusyi i naruszywszy regulamin, etaty gubernii chełmskiej.

*Pogłosce* o złożeniu mandatów przez Parczewskiego, Łempickiego i Gościckiego zaprzeczono.

*Stosunki polaków z kadetami*, wedle zdania Harusewicza, będą nadal poprawniejsze, bo bez romantyzmu.

*Mówili polskim posłom:* Szczepkin: „Nie dla lokajowania przysłał tu was naród!" Kireńskij: "Zdradziliście swój naród"! Rodiczew: „Marny byłby polski naród, gdybyście go istotnie reprezentowali"! Nasze społeczeństwo w tych głosach dosłuchuje się — „rad podejrzanych" i nic nad to...

### SPRAWY SPOŁECZNE.

*Wystawa Rolnicza* będzie w Częstochowie w roku przyszłym.

*Ministeryum rolnictwa* odmówiło prośbie Towarzystwa Rolniczego o 7 milionów kredytu na pobudowanie elewatorów celem zorganizowania handlu zbożem. Odesłało je do departamentu drobnego kredytu.

*Niemieckie pisma* piszą ze złością o bojkocie żydów, widząc w tem upadek wywozu niemieckich towarów.

*Bojkot gaśnie*, wedle raportu warszawskiego generał-gubernatora. Zagraniczni przemysłowcy ograniczyli kredyt i polskim i żydowskim kupcom.

*Zatwierdzono stowarzyszenie*, mające organizować polski przemysł i handel po miastach prowincyi. Na czele stoją: p. Radoszewski i p. Sadzewicz. „Akcya ze stanu agitacyjnego wchodzi w stan organizacyjny", — pisze „Słowo".

*Wilno* wprowadziło nauczanie powszechne; po 10-ciu latach będzie 79 szkół dla 10.000 dzieci.

### NAUKA I SZTUKA.

*Warszawskie Towarzystwo Słowiańskie* artystyczno-literackie złożyło swój zarząd: wchodzą doń rosyanie, polacy, czesi i słowacy. Z polaków pp.Jakowski, Szpetkowski, Miciński i Tomasik.

*Wystawa Podhalańska* organizowaną jest w Warszawie przez Towarzystwo Krajoznawcze. Dobry pomysł.

*Konkurs* na malowanie głowy rozstrzygnął komitet Zachęty warszawskiej: 1-a nagroda — p. Boruciński, 2-a nagroda — p. Zofia Święcka.

*Wystawa sceniczna* w Warszawie we wrześniu zapowiada udział wielu artystów zagranicznych, obok polskich. Postarał się o to p. Wł. Siedlecki.

### SPRAWY GALICYJSKIE.

*Wybory do sejmu* dały wielkie zwycięstwo rusinom. Wchodzą w zdwojonym składzie. Nowa partya ukazuje się na widowni: Związek Chrześciański, który przeprowadził 9 posłów. Wszystkie inne partye potraciły mandaty.

*Reforma sejmowa*, jak mniema „Czas", będzie musiała być przeprowadzoną w gorszych dla nas, niż dawniej warunkach.

*9.000 sokołów* zgłosiło się na zlot we Lwowie.

### ŚWIĘTOKRADZTWO.

*Farę Kaliską* okradziono ze starożytnych koron i wotów. Złodziei tym razem złapano.

### STREJKI.

*W Łodzi* strejkuje już trzy czwarte robotników w przemyśle wielkim. Za przyczynę strejku podaje ks. Albrecht, patron demokracyi chrześciańskiej: „chęć odwrócenia uwagi społeczeństwa od innych, aktualnych spraw".

*Przemysłowcy łódzcy* domagają się utworzenia robotniczych związków. Teraz bowiem — „niema z kim prowadzić układów".

*Wielu robotników* rozjechało się na wieś w nadziei dostania robót polnych podczas zbiorów.

*Po raz trzeci władze* piotrkowskie odrzuciły starania o utworzenie Związku Przemysłowców łódzkich.

---

## Z kroniki towarzyskiej.





Dnia 5 lipca odbył się ślub pomiędzy panną Jadwigą Koźmińską, córką zasłużonego pedagoga Tomasza i Maryi z Kielmanów małżonków Koźmińskich, z panem Leopoldem von Mussil, doktorem prawa. Szczęść Boże młodej i dobranej parze.

---



Niedawno odbył się obrzęd zaślubin p. Wandy Jastrzębiec-Sławińskiej z p. Antonim Pilawa-Żelisławskim.

P. Sławińska pochodzi z zasłużonej krajowi rodziny: ojciec jej, ś. p. Piotr Sławiński, uczestniczył w wypadkach 63 r. i długie lata przebywał na Syberyi. P. Żelisławski, syn znanego przemysłowca, jest przedstawicielem owocnej i celowej pracy dla dobrobytu kraju.

Dobranej parze towarzyszą życzenia wszystkich krewnych i znajomych.

# UKRAINKI.

*A mnie do pracy szkoda,*
*Bom sobie hoża, młoda.*

Bohdan Zaleski.

— Czemu się pani martwi? — pytał pewien koroniarz ukrainkę.

Pytał, choć umiała się śmiać, jak nikt, przez trzy noce z rzędu tańczyć naumór, a we dnie urządzać kawalkady.

Martwiły się tylko — jej oczy, siwe o ciężkich powiekach. Wśród najmilszej rozmowy zdawały się łzą zamglone.

Przysłania je smętek, właściwy krainie, „gdzie kurhany cicho drzemią“ i „kwiat mdleje od żałości“.

Rzadko z dna jej duszy się wyłaniał, ukryty zazdrośnie pod powieką, lecz gdy wionął, to się widziało:

Step bujny, burzanny,
Co w jasną zieleń się ściele,
W barwienki, w lubystki, w dziewanny,
W młodostki, w miłostki, w sen — zielę.

...Postać bujna a strzelista, namiętna a tęskna. Ociężałość i żywość — coś z odaliski i ze stepowego rumaka.

Tyle czarownych antytez składa się na nasze pojęcie o ukraince.

Lecz jaką jest właściwie?

Żeby zobaczyć, jaką *jest*, przyjrzyjmy się, jaką *była*.

Nieokiełznaną.

Smutek bez powodu i wesołość bez przyczyny — wybuchy gniewu i dobroci, wybuchy... różne stanowiły osnowę jej życia, przed wiekami, a jeszcze i przed półwiekiem.

Wolno było wszystko — na Ukrainie.

Pan na jednej wsi (a powiedzmy, że ta jedna starczyła za pięć w Królestwie), taki pan uważał się za królika, za wszechwładcę. Dzieliła to przekonanie pani. Dzieliły panięta. A że mieszkało się o sto, niekiedy o stokilkadziesiąt wiorst od kolei, więc niełatwo było przymierzyć swą wielkość do wielkości świata.

I wychowaniu przewodniczyła zasada: wszystko wolno. Więc rośli synowie, którym wolno było — nie uczyć się; rosły córki, którym wolno było próżnować — nie od rana, wprawdzie, bo rano zaczynało się w południe, lecz zato do późna w noc.

*Fantazya* była prawem.

A fantazyę podsycało niebo, włoskie niemal, i szeroki powiew stepu, nad którym brat-orzeł i brat-sokół straż trzyma, po którym pieśni szły od jaru do jaru, szedł skrzyp studziennych żórawi i skrzyp czumackich wozów [1]). Piękne dziewice i panie puszczały wodze marzeniom, zwykle niespełnionym, bo mężowie i narzeczeni zgoła byli niepodobni do trubadurów.

Ich *fantazya* znajdowała ujście w bałagulstwie, w facyendowaniu końmi, w zgrywaniu się w „dyabełka“, w pijatykach, czasem w tańcach.

Miłość? I owszem, ale bez długich wstępów, bez arabesków.

Żony, córki, siostry, zostawione przeważnie sobie samym, wiodły życie bezczynne, haremowe, osłodzone konfiturami, francuskiemi romansami i bujaniem w obłokach.

Dzieci oddawane były na — problematyczną — opiekę nianiek, bon, nauczycielek, czasem babek, których działalność zasadzała się głównie na przekarmianiu pieszczoszków i strzeżeniu ich od — świeżego powietrza i ruchu.

Trzymane w dusznych pokojach z oknami nieotwieranemi nigdy, chyba w upały, robiły, co im się żywnie podobało.

Nie podobała im się zwykle nauka. I nie dziw. Szafarkami wiedzy bywały cudzoziemki - analfabetki i nauczycielki - amatorki, które swój zawód traktowany—w młodości, jako przejście do lepszego bytu — małżeńskiego, a na starość — jako utrapienie.

To też nauka przed półwiekiem nie kwitła na bujnej Ukrainie.

Wszystkiego było tam wbród: i jadła, i napitku, i służby, i koni w stajniach, i ekwipażów w wozowniach, i gwaru we dworach. Ale mało poczucia obowiązku, poczucia odpowiedzialności za swe czyny.

Hulaj dusza — bo życie krótkie!

Odaliski, za młodu, podnosiły się ze swoich szezlongów poto tylko, aby stanąć do mazura lub wskoczyć na koń. Zapamiętywały się w tań-

[1]) Czumacy przywozili sól z morza Czarnego.

cu, szalały po stepie. Każda była przez los pokrzywdzona. Każda zawodziła:

*Na szczoż meni krasa moja,*
*Koly nema doli* [1]).

Gdy dorosły córki, zaprawiane do życia przez zabiegi kosmetyczne (kąpanie w migdałach, w mleku), panie, już z większą trudnością, podnosiły się z szezlongów, aby z niemi jeździć w bliższe i dalsze sąsiedztwo ogromnemi landarami, obłożonemi walizami i waszami [2]).

Było to poświęcenie ciężkie, nietylko pod przenośnią, bo rusałki, na drugim skłonie wieku, dzięki konfiturom i szezlongom, nabierały wagi i dochodziły niekiedy do rozmiarów takich, że trudno im było wtłoczyć się w drzwiczki karet.

Ale trzeba przecież córki w mężów zaopatrzyć. Gdyby zostały pannami — to co? Marna *czternastka* [2]) nie zapewniała starej pannie powozów, licznej służby. Więc siedzieć na łasce brata? bratowej? Ani matkom, ani córkom — upośledzonym przez prawo — nie przychodziło na myśl, że może być inne wyjście z tej przykrej sytuacyi.

Zresztą w owych czasach nie przychodziło to na myśl nikomu — i poza Ukrainą.

Aż oto — Ukraina zbliżyła się do świata. Zbudowano kolej kijowską, potem humańską, kolej od Wapniarki do Ćwietkowa.

Te arterye przyczyniły się wprawdzie do upadku handlu (wyłącznie żydowskiego) w Humaniu i w takich centrach oświaty, jak Pokotyłowa, Hołowanieskie oraz innych, lecz natomiast przekonały Ukrainę, że wielkości humańskiego, lipowieckiego, zwinogrodzkiego powiatu, przystawione do miary Europy, nieco się kurczą. Im szerszy stawał się rozmach... pasażerski, tem zmniejszał się rozmach dawny — owa „szeroka natura“, buszująca pomiędzy Siniuchą, Jatraniem a Bohem — w mniemaniu, że to jest świat cały.

Europa miała zadanie rozległe. Musiała prostować poglądy na świat panien stepowych, które, dzięki ułatwieniom komunikacyjnym zaczęły czerpać wiedzę, nie u domowych krynic, lecz w różnych zakładach naukowych Warszawy, Krakowa, Lwowa. Dowiadywały się przedewszystkiem, że i nauczycielki mogą coś umieć i swój zawód lubić; dowiadywały się dalej, że sługa a niewolnik, to nie synonim; wreszcie, że jest takie narzędzie tortury, co się zwie zegarkiem, i że trzeba i do godziny, i do ludzi się stosować.

Poznawszy te prawdy, naprzód uczuły się pokrzywdzone i pełne żalu do cywilizacyi, która indywidualizm tłumi, do grzeczności dla wszystkich zmusza i każe chodzić na spacer — dzień w dzień, przy najgorszej pogodzie.

Zapoznawszy się jednak lepiej z kulturą, za powrotem do domów, już nie pozwoliły sobie zapinać trzewików, myć rąk i szyi [1]). A i przeciw fatalnej *czternastce* znalazły sposoby inne, niż ich matki, a mianowicie: pracę.

O ile za mąż nie wyszły, poświęciły się bądź nauce, bądź filantropii i sprawom społecznym, a jeśli—nieszukany już mąż — znalazł się, nie chciały mu być odaliskami.

Weszły do pokojów dziecinnych, pootwierały okna wiecznie pozamykane, poczęły staranniej wybierać pedagogiczny personel, a rozsmakowawszy się w pracy, znalazły jej dokoła siebie coraz więcej—iw domu, i w oborach, i na *toku* [2]), i w kancelaryi mężów. Prowadząc rachunki gospodarskie, zobaczyły, że nie starczy — na leżenie z romansem w ręku, wogóle, że w *najlepszych* nawet latach nie starczy na: *lej-rozlej.* To też, dzięki ich zabiegom, *najgorszych* lat coraz mniej na Ukrainie, mimo, że, naprzykład, rok zeszły był wprost klęskowy.

Natura ukraińska jest istotnie bujna i — żyzna; dobre więc ziarno wydaje plon na podziw.

Z tą samą zawziętością, z jaką matki uprawiały *nicnierobienie*, córki, a teraz wnuczki — rzuciły się do roboty. Egzaminem z niej — imponującym — była wystawa humańska w r. 1910. Poza okazami, nadesłanemi przez kobiety, były—nieeksponowane oficyalnie—wpływy kobiet na mężów, braci, wpływy, które się wyraziły w reformach gospodarskich, idących po drodze postępu.

Na drodze pracy społecznej ukrainki wiejskie postąpiły jeszcze bardziej od miejskich. Koła kobiet w Kijowie, Humaniu, Berdyczowie i t. p. rozwijają piękną działalność cywilizacyjną, mimo twardych warunków pracy i przeszkód, stawianych takiej robocie wszędzie, a zwłaszcza w północno i w południowo-zachodnich guberniach. Dobroczynność, jako instytucya doskonale zorganizowana i zasilana, przeorała też niejeden ugór.

Ukrainka dowiodła, że ma nietylko dar inicyatywy, lecz, co dziwniejsze, że przy szerokim rozmachu, umie się zdobyć na czyn codzienny, zmudny. Nauczyła się nietylko pracy, lecz i wytrwałości.

A na jej dobro — na jej wielkie dobro — i to zapiszmy, że wśród działalności emancypacyjno - kobiecej i ogólno-ludzkiej nie zatraciła rodzimego wdzięku, że czarnemi lub siwemi oczyma potrafi się nietylko martwić, lecz umie pieścić; że i dziś, jak przed wiekami, na Ukrainie „słyną dziewy krasą lica“, że słuszniej jeszcze, niż za czasów Bohdana, obiecywać mogą — „raj“ i w raju — siebie temu, który je zdobędzie.

Ale dziś nie byle kogo chcą wprowadzać do tego raju.

*Eugenia Żmijewska.*



# Kronika Wystawy Kijowskiej.

— Brak główny Wystawy zostanie wkrótce usunięty: zła komunikacya na samej Wystawie. Błoto wypełnia ulice i ścieżki między pawilonami. Budowa tramwaju szybko jednak postępuje, z obu stron go prowadzą; wielu robotników przy nim zatrudniono; zarząd kolei Południowo-Zachodniej ofiarował potrzebne podkłady.

— Powodzenie Wystawy nie odpowiada jej doniosłości, niestety, częste deszcze zatrzymują ludzi w domu a tych, co przybyli na Wystawę, skłaniają do narzekań, mniej lub więcej (zwykle to ostatnie) energicznych na złe ścieżki. Nie można było urządzać koncertów na świeżem powietrzu, jak to projektowano, a znowu brakuje sali koncertowej osłoniętej. Ztąd szlachetniejsza część atrakcyjna—„świeci nieobecnością“.

— Wystawcy, którzy umieścili owoce swej przemyślności na górnej części placów, w dni mokre są odcięci od dołu, a więc i od widzów. Katalog wystawy znajduje się w druku. Na to spóźnienie bardzo narzekają: prasa i widzowie. Ale nie pochodzi ono z winy Komitetu Wystawy. To wyborcy, jak zawsze, stają „na ostatnią chwilę“, a wielu z nich nawet w parę tygodni po tem, trudno przy tem skłonić wystawców do koncentrowania jednorodnych wyrobów; istnieje u nich jakby uprzedzenie, doradzające szukania odmiennych okazów za tło. Np. maszyn rolniczych, a jest ich 200, — trzeba wyszukiwać po rozmaitych pawilonach, głównie — prywatnych, szczegół nie bez znaczenia: na 200 maszyn rolniczych — 180 jest pochodzenia cudzoziemskiego. Jednak — nie tylko niemieckiego, — bo są tu maszyny czeskie, szwedzkie i amerykańskie.

— Obraduje „komitet olimpijski“ dla zorganizowania popisów sportowych. „Pole sportowe“ jest już upatrzone, tylko kwestya, ile właściciele jego „zaśpiewają“ za odnajęcie go nowoczesnym olimpijczykom. Program popisów ułożony; w druku w tej chwili.

---

[1]) Na cóż mi ta krasa moja,
Kiedy niema szczęścia?

[1]) *Wasza* — płaska, długa waliza, przyśróbowywana do pudła karet.

[2]) Córki, o ile mają braci, biorą 14-tą część majątku, zwykle w gotówce.

[1]) Autentyczne, choć może nie typowe.

[2]) W gumnach.



*Fot. Wł Sztyblewski.* Ulica Dobra 18. *8408.* Ogólny widok fabryki.

# Tow. Warsz. Oczyszczania i Sprzedaży Spirytusu.

Towarzystwo Warszawskie Oczyszczania i Sprzedaży Spirytusu założone zostało w 1886 r., z kapitałem akcyjnym 300.000 rb., dla przyjścia z pomocą gorzelnictwu krajowemu i wyemancypowania się z pod gniotącego go wpływu kilku hurtowych kupców okowicianych. Dla osiągnięcia tego ostatniego celu rozpoczęło swą działalność od działu handlowego, nawiązało stosunki z zagranicą i dział ten prowadzi dotychczas, powiększając go, rozwijając i zastosowywując do zmienionych okoliczności. Obecnie około 200 wagonów-cystern rozwozi naszą okowitę i rektyfikat nietylko zagranicę, ale i w Cesarstwie.

Już w 1888 r. nabyło posesyę przy ul. Dobrej i założyło swoją dystylarnię pod firmą „Rektyfikacya Warszawska", dla korzystniejszego zbytu surowego produktu pod postacią spirytusu rektyfikowanego i wyrobów wódczanych. Szczególniej silnie rozwinął się ten dział z chwilą, gdy w 1891 r. kierownikiem jego został p. J. Anderszewski. Dzięki jego działalności, gatunek wyrobów polepszał się, a obroty zwiększały się z roku na rok.



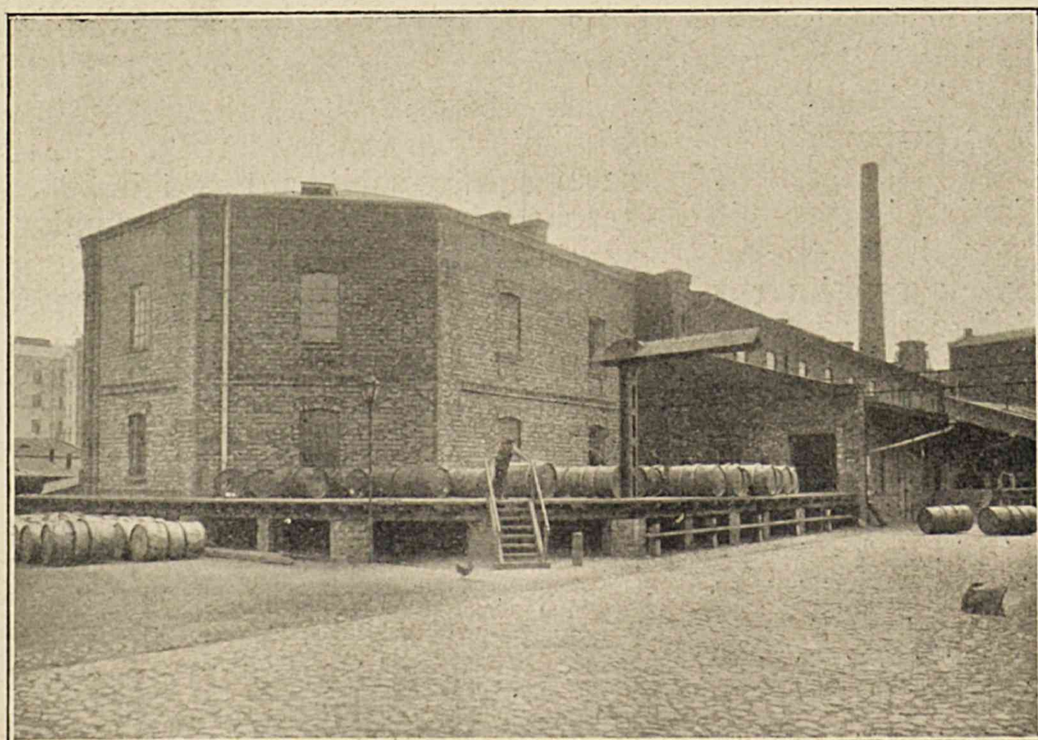
J. Anderszewski.

Wprowadzenie monopolu do Królestwa Polskiego w 1897 r. i zmienione warunki handlu były przyczyną, że Towarzystwo Warszawskie Oczyszczania i Sprzedaży Spirytusu założyło na Pradze, przy ul. Ząbkowskiej, obok Składu Monopolowego, dużą rektyfikacyę dla oczyszczania surówki na potrzeby monopolu oraz na własny rachunek i w tym celu powiększyło kapitał akcyjny do 600.000 rb., a w 1910/11, przy zwiększonym obrocie handlowym, jeszcze o 300 tysięcy, t. j. do 900.000 rb. Maximum produkcyi wynosiło około $2^1/_2$ miliona wiader 40°, czem jednak produkcyjna siła fabryki nie została jeszcze wyczerpana. W fabryce znajdują zastosowanie wszelkie najnowsze wynalazki techniki.

Z chwilą wprowadzenia monopolu p. Anderszewski wydzierżawił od Towarzystwa fabrykę słodkich wódek i prowadził ją pod dawną firmą aż do 1/14 lipca 1912 r., kiedy z ukończeniem kontraktu Towarzystwo przejęło fabrykę na własny rachunek, zapewniwszy sobie pozostanie p. Anderszewskiego w charakterze Dyrektora Technicznego Warszawskiej Rektyfikacyi.

Pod umiejętnem i energicznem kierownictwem jego fabryka rozwijała się szybko, a ilościowo i jakościowo wyprzedziła wszystkie inne fabryki Królestwa.

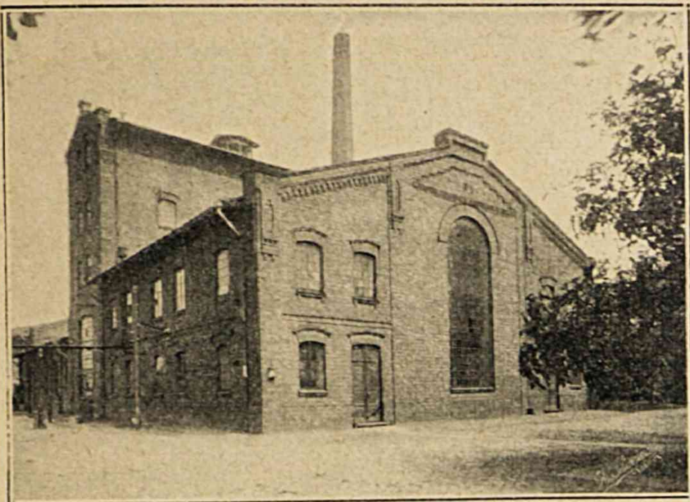
Samych różnego rodzaju wódek i likierów wyrabia około 150 gatunków. Wypuściła ona na rynek następujące, cieszące się wielkim popytem i uznaniem: „Jeszcze raz", „Żytniówkę", „Wystawową", „Przepalan-



Magazyny spirytusowe, ulica Ząbkowska.



Skład gotowych wódek, ulica Dobra № 18.



Ul. Ząbkowska. Główny budynek fabryczny.

kę", „Chlebową", „Świteziankę" „Redlówkę", „Siwuchę", „Starą Litewkę", „Starkę" i nieporównaną dotychczas „Wyborną".

W celu zaopatrzenia swoich odbiorców we wszelkie wyroby im potrzebne, pierwsza założyła rozlewnię ruskiego koniaku, który w beczkach wprost od producentów sprowadza, a jednocześnie, wobec popytu na zagraniczne trunki, otworzyła skład koniaków, likierów i wszelkich win zagranicznych, jako to: włoskich, hiszpańskich, reńskich, węgierskich i francuskich z pierwszorzędnych domów pochodzących, oraz szampańskich wszelkich marek.

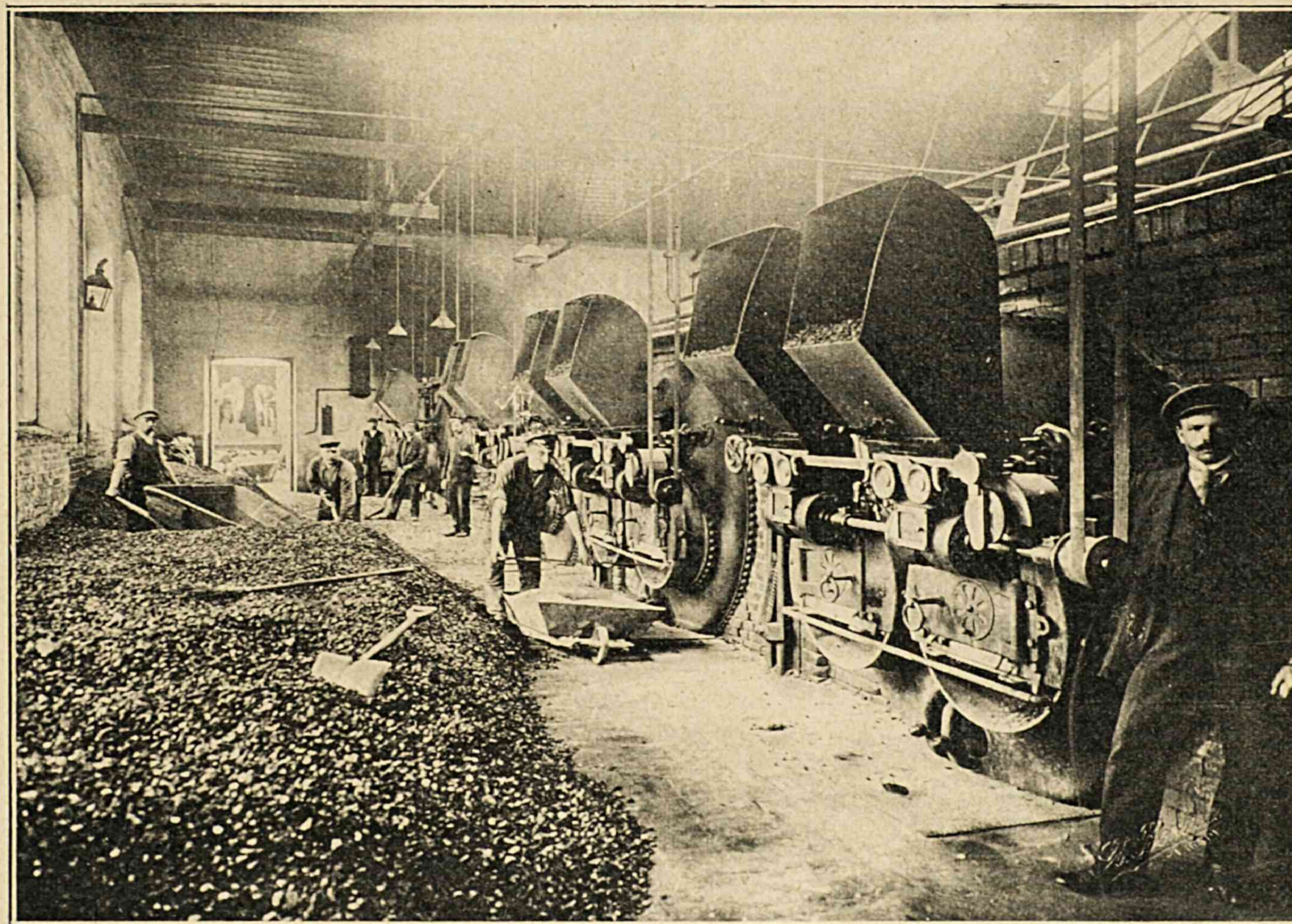
Widząc postęp w wyrobie win w Cesarstwie i wzrastający u nas popyt na takowe, a pragnąc dać zdrowy i czysty napój swoim odbiorcom, otworzyła skład win rosyjskich wszelkich gatunków, od besarabskich i krymskich, aż do samarkadzkich.

W ten sposób Warszawska Rektyfikacya na Dobrej posiada cztery działy: pierwszy — fabryczny wyrób wódek i likierów, drugi — rozlewnię koniaku ruskiego, trzeci — skład win i koniaków zagranicznych i czwarty — skład win rosyjskich.

To też wyroby Warszawskiej Rektyfikacyi rozchodzą się nietylko w granicach Królestwa Polskiego, ale obejmują znaczny rejon w Cesarstwie, nie wyłączając obu jego stolic, a obroty dochodzą do miliona rubli.



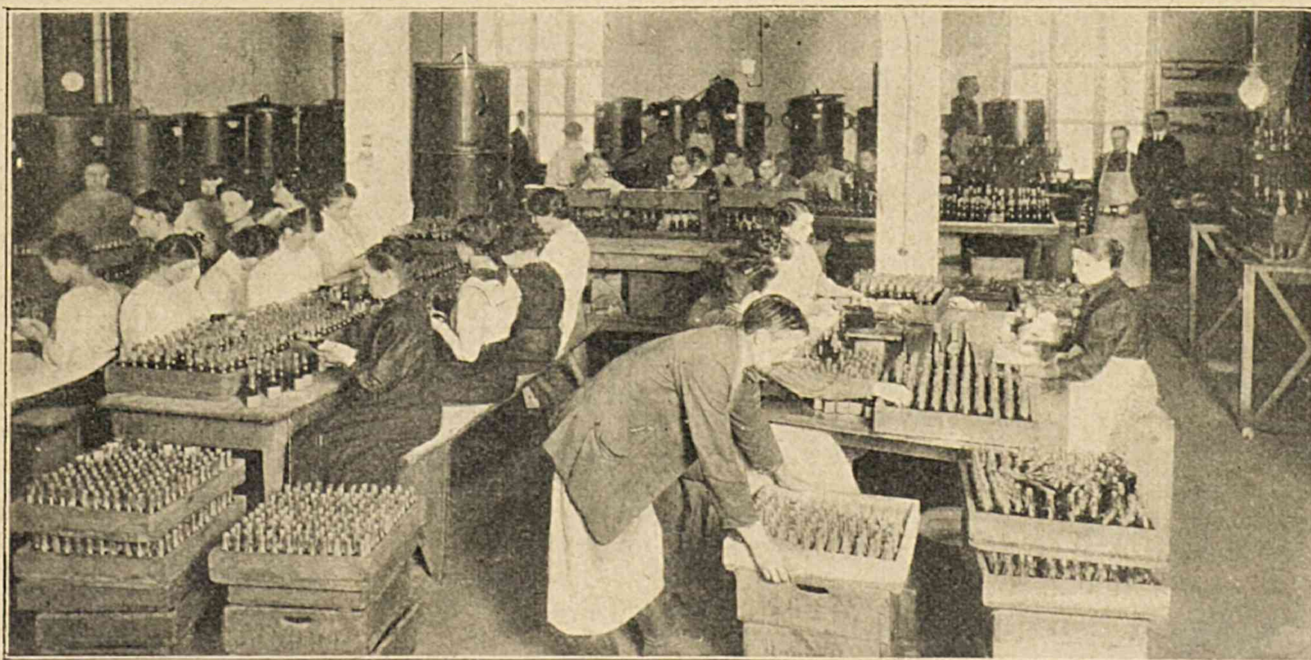
Fabryka przy ulicy Ząbkowskiej. Sala aparatowa I-go piętra.



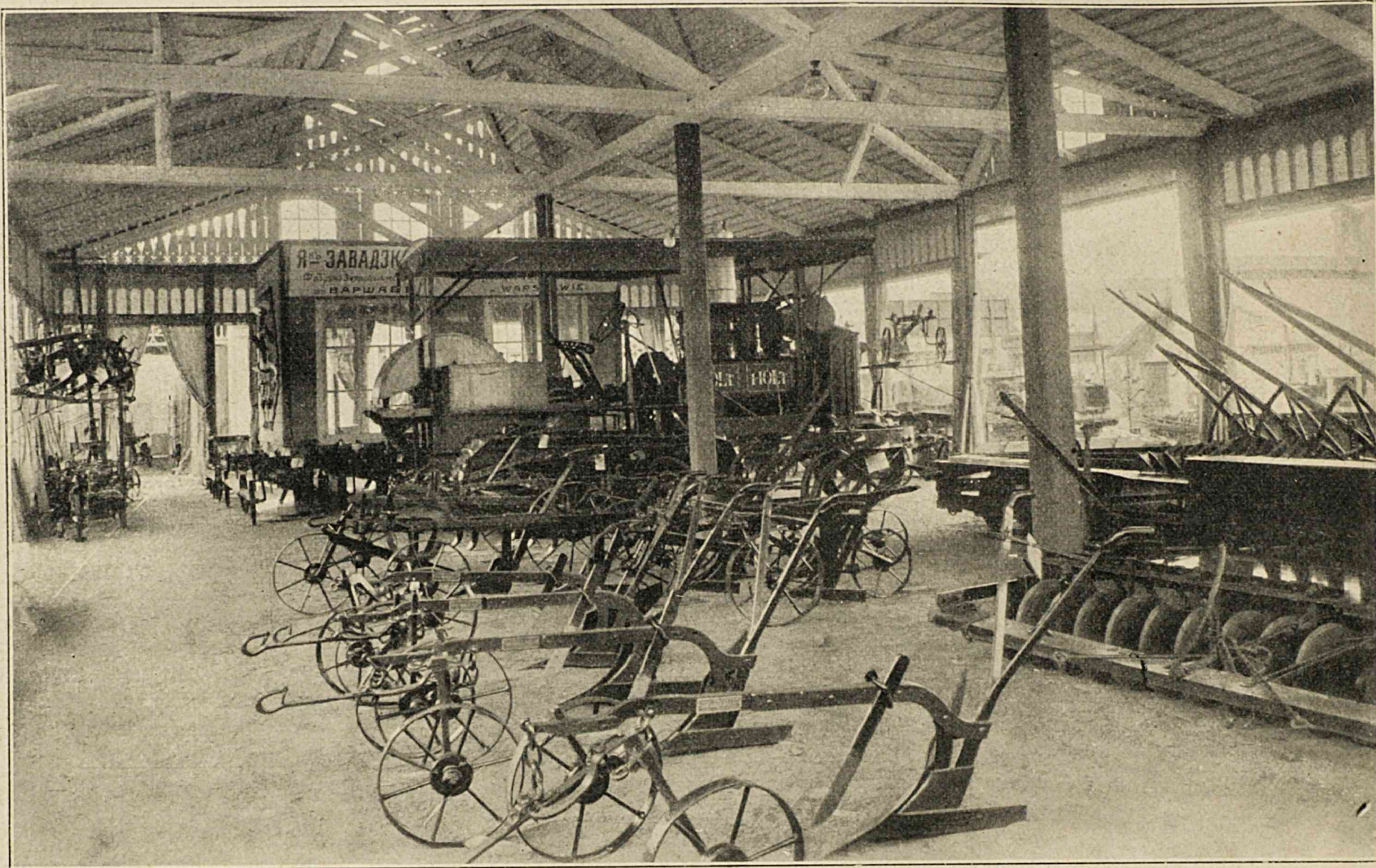
Fabryka przy ulicy Ząbkowskiej. Widok kotłowni.



Piwnice przy składzie wódek, ul. Dobra 18.



*Fot. Wł. Sztyblewski.* Fabryka przy ulicy Dobrej. Naklejanie etykiet.




Wnętrze pawilonu firmy D. Mierzwińs*i, i S-ka na wystawie w Kijowie.

# Dom handlowy D. Mierzwiński i S-ka,

## Kijów, Kreszczatik № 27.

8368:

Jedną z poważniejszych polskich placówek przemysłowych i handlowych w Kijowie stanowi dom bankowy D. Mierzwińskiego i S-ki.

Dzieje założenia tej, obecnie tak poważnej instytucyi finansowej, są następujące:

W roku 1907 znany na całym Wołyniu i Podolu obywatel ziemski, właściciel dóbr Siemaki, w pow. lityńskim na Podolu, p. Dobiesław Mierzwiński, powziął myśl założenia domu bankowego, w którymby zjednoczyć się mogły kapitały ziemiaństwa polskiego tamtych stron, i któryby służył ich interesom.

Inicyatywa jego spotkała się z ogólnem uznaniem, i w krótkim czasie pozyskał poważnych udziałowców w osobach: Cezarego hr. Stadnickiego, Apolinarego Sokołowskiego i Romualda Sokulskiego, w r. 1910 zaś przystąpił jeszcze z poważnym udziałem Józef hr. Giżycki.

Jak więc z powyższego widzimy, jest to, jak na nasze stosunki, jedyny i niezwykły bank, gdyż udziałowcami jego są jedynie i wyłącznie ziemianie polscy.

Zakres działalności domu bankowego D. Mierzwiński i S-ka jest bardzo obszerny, gdyż prowadzi on wszelkie operacye bankierskie, a głównie dyskonto weksli, następnie udziela wszelkich pożyczek pod umowy na zboża, nasiona i t. d.

Dział ten więc, jak widzimy, jest nader ważnym dla ziemiaństwa tamtejszego, gdyż uwalnia go z zależności i rąk lichwiarskich.

Nie możemy się przytem powstrzymać od zaznaczenia pewnego, nader smutnego faktu, bardzo źle świadczącego o ogólnych naszych stosunkach ekonomicznych.

Mianowicie, większość obywateli kraju naszego, rozporządzających poważniejszymi kapitałami, woli lokować je w bankach zagranicznych, gdzie są one niby „bezpieczne", choć przynoszą właścicielom zaledwie jeden lub dwa procenty.

Taki system gospodarki ekonomicznej daje tak smutne wyniki, że Bank rodzimy, miejscowy, nie rozporządzając większemi kapitałami, z musu musi zmniejszać zakres swej działalności, i ograniczać kredyt tak potrzebującemu go polskiemu przemysłowi, polskim rzemiosłom i handlowi polskiemu.

Jakie są tego wyniki dla rozwoju ekonomicznego kraju, niema co mówić. Rozumieją dobrze to wszyscy, którzy patrzą na owocną, pomimo nader ograniczonego terenu działalności, pracę domu bankowego D. Mierzwińskiego i S-ki.

Z musu, z powodu braku kapitałów, musi on odmawiać kredytu zgłaszającym się po niego klientom, choć znaczna większość ich to ludzie pewni i w zupełności odpowiedzialni.

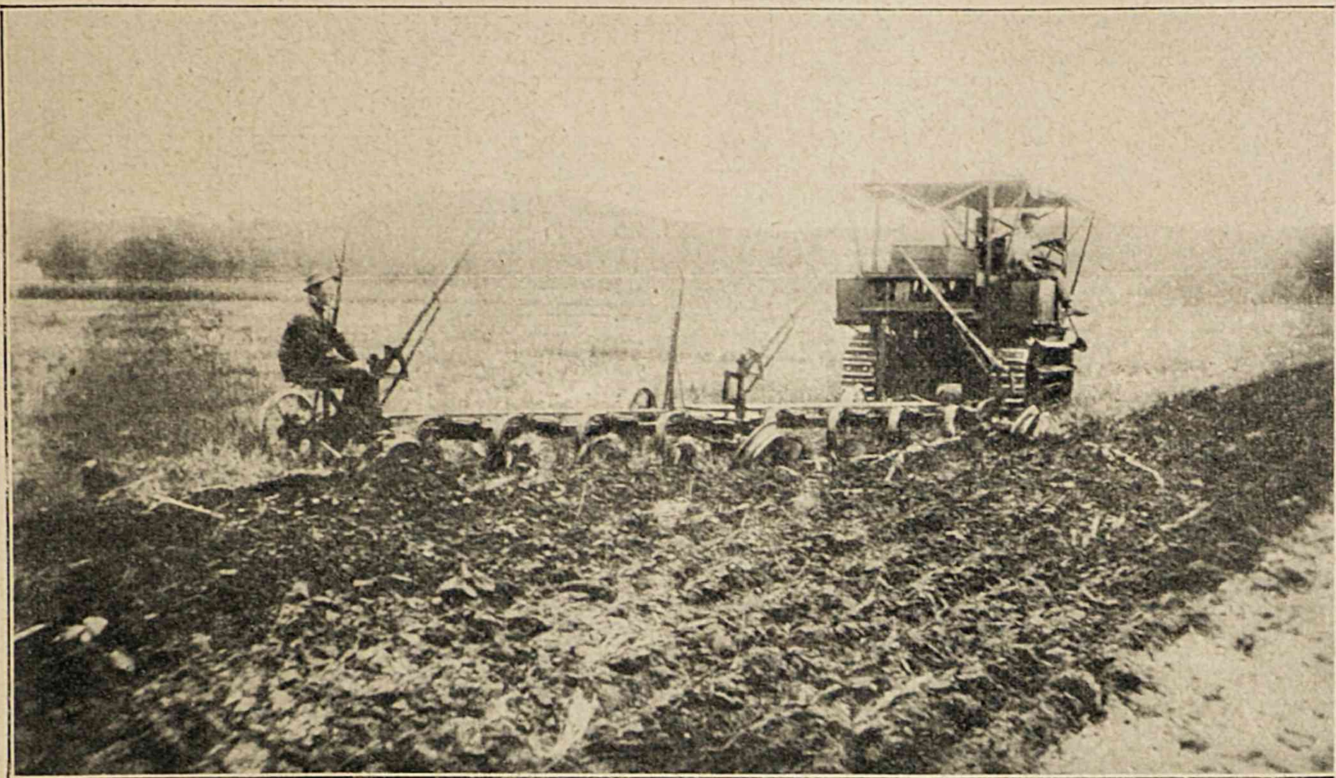
Ażeby ściągnąć poważniejsze kapitały, musiał dom bankowy D. Mierzwińskiego i S-ki uciec się do środka, który zmniejszył coprawda zyski Banku, lecz wpłynął zato na zwiększenie obrotów.

Środkiem tym było zwiększenie procentów od kapitałów, lokowanych w Banku, mianowicie od wkładów na rachunek bieżący 5 do 6%, a na termin dłuższy od 7 do 8% rocznie.

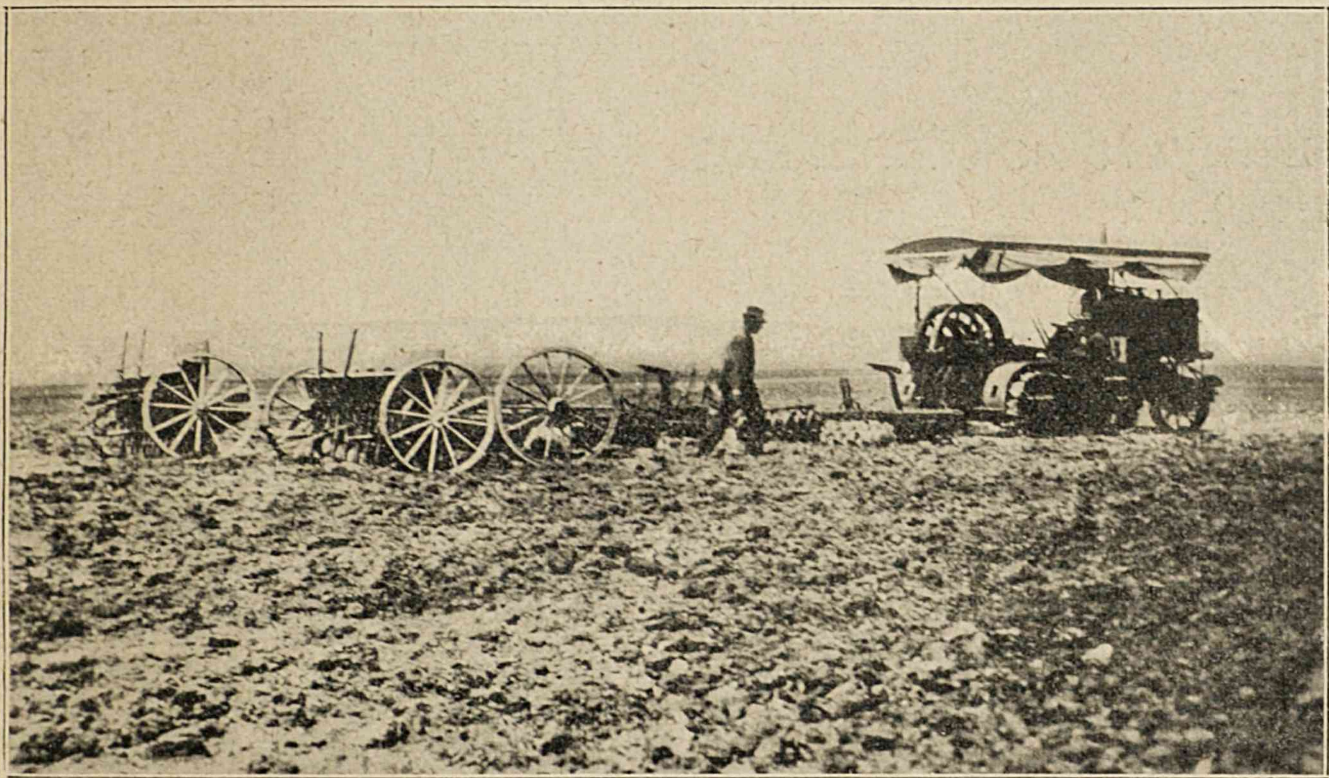
Ten środek, tak radykalny, wywarł poważny wpływ na zwiększenie wkładów, i gdy w roku 1911 na rachunku bieżącym trzymano zaledwie 70.000 rb., w styczniu roku bieżącego na tymże rachunku znajdowało się już 130.000 rb., przyczem lokaty na termin dłuższy w tymże czasie wzrosły z 20.000 rb. do 180.000 rb.

Poważna zmiana, najlepiej dowodząca, że pomimo niesprzyjających okoliczności, pomimo naprężonej sytuacyi politycznej, dom bankowy D. Mierzwińskiego i S-ki coraz większe budzi zaufanie wśród szerokich kół ziemiańskich, że zakres działalności jego wzrasta.

Drugim, nader ważnym działem, wpływającym wielce korzystnie na rozwój domu bankowego, stanowi bardzo czynny i ruchliwy, a założony przy Banku w r. 1911 oddział spe-



Traktory „Caterswllar" przy pracy.



Traktory „Caterswllar" przy pracy

cyalny rolniczo - przemysłowo - handlowy.

Zadaniem jego jest zgrupowanie u siebie przedstawicielstw pierwszorzędnych fabryk narzędzi rolniczych.

Każdy, komu znanem jest znaczenie dobrej maszyny czy narzędzia w wzorowem gospodarstwie rolnem, przyzna, że dział ten jest nader ważny dla ziemiaństwa całego kraju, zwłaszcza tak specyalnie rolniczego, jak Wołyń i Podole.

Dom bankowy D. Mierzwiński i S-ka posiada przedstawicielstwa fabryk amerykańskich i polskich.

Ostatnio właśnie otrzymano wyłączne przedstawicielstwo na kraj zachodni znakomitych traktorów, t. j. narzędzi motorowych „Caterswllar", słynnej firmy amerykańskiej Holst.

Narzędzia powyższe przedstawione będą publicznie w wspaniałym pawilonie własnym domu bankowego D. Mierzwińskiego i S-ki, na wystawie w Kijowie.

W tymże samym pawilonie wystawione są narzędzia drugiej firmy, wyłączne przedstawicielstwo której na kraj tutejszy posiada Dom Bankowy.

Mówimy tu o znanej dobrze w całym kraju naszym fabryce pługów i narzędzi rolniczych p. Jana Zawadzkiego i S-ki z Warszawy.

Fabryka ta, założona z początku z niewielkim zasobem kapitału, w miarę postępu lat rozwijała się coraz więcej pod energicznym kierunkiem właściciela, zwłaszcza gdy kapitał obrotowy wzmógł się znacznie przez wstąpienie do spółki ks. Druckiego-Lubeckiego.

Narzędzia wyrobu fabryki, zwłaszcza zaś pługi, rychło znalazły uznanie wśród rolników, wypierając wszędzie fabrykaty niemieckie. Dzięki doskonałości wyrobów swoich, przyczem należy zaznaczyć, że wszystkie one wykonane są tylko z materyałów polskich, fabryka p. Jana Zawadzkiego i S-ki pierwsze zajęła w tym dziale przemysłu polskiego miejsce, stwierdzeniem czego są liczne, zdobyte na wystawach, nagrody.

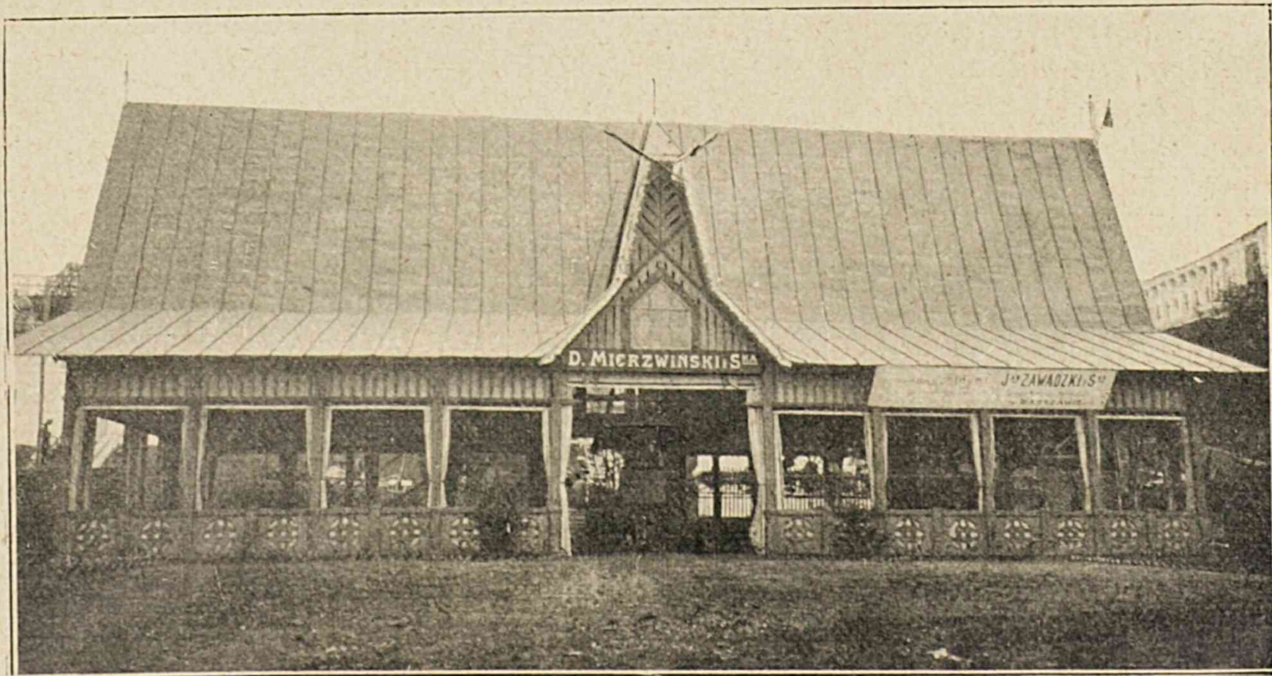
To są, jak dotychczas, dziedziny działalności Domu Bankowego D. Mierzwiński i S-ka.

Pracuje on bez żadnego prawie ryzyka, gdyż zna bardzo dobrze interesy swoich dłużników, nie wdaje się przytem w żadne spekulacye giełdowe, tak ryzykowne, a więc przez to samo daje klientom swoim zupełnie pewną rękojmię, że złożone u niego kapitały znajdą pewną i korzystną lokatę.

Pożądany byłby przypływ kapitałów, zwłaszcza ziemiańskich, gdyż dla tych sfer pracuje wyłącznie prawie Dom Bankowy D. Mierzwińskiego i S-ki. Pozwoliłby on na rozszerzenie działalności, oraz na uniknięcie kosztownego nieraz redyskonta, sięgającego częstokroć od 7 do 9 %.

*kr.*

---




Pawilon domu handlowego D. Mierzwiński i S-ka na wystawie kijowskiej.




# Biuro leśne Techniczno-Przemysłowo-Handlowe

(Syndykat leśny).

8467.

Warszawa, Aleje Jerozolimskie 25, telefon 273-44.

---

Leśnictwo nasze, ta jedna z największych niegdyś gałęzi naszego przemysłu rolnego, dzięki nieumiejętnej i niedbałej gospodarce chylić się zaczęło ku upadkowi.

O przyjściu z pomocą ziemianom w tym wypadku pomyślało Centr. Tow. Rolnicze, zakładając przy Wydziale Leśnym biuro porad i pomocy technicznej. Biuro te, prowadzone przez osoby, zajęte po za nim jeszcze pracą zarobkową, nie mogło wiele zdziałać, nie było wprost zdolne odpowiedzieć wszystkim rosnącym zapotrzebowaniom fachowej porady i pomocy.

Wtedy powstała myśl założenia samodzielnego zupełnie biura, któreby zajmowało się wyłącznie sprawami leśnictwa naszego, a które związane by było z Wydziałem Leśniczym nicią sympatyi, łączącą w jeden snop potężny wszystkie kooperatywy. Bo i nowe biuro oparte jest na zasadach kooperacyi.

Przystąpił też do niego, oprócz grona techników leśnych, szereg osób, znanych dobrze w rolnictwie naszem. Między organizatorami są pp. Zygmunt hr. Broel-Plater, Karol hr. Raczyński, Julian hr. Tarnowski i Ordynat Maurycy hr. Zamoyski.

Na czele nowo powstającego stowarzyszenia, które otrzymało urzędową nazwę „Syndykat leśny w Warszawie", stanęli dwaj technicy leśni, pp. Jan Czaplicki i Antoni Ziatkowski.

Jako zakres działalności swej, nowe biuro obrało sobie wszystkie potrzeby lasów naszych, aby nie ginęły, aby normalnie rozwijały się, aby przestrzeń ich zwiększała się i dawała dochody.

Do programu działalności nowego biura należą inspekcye jednorazowe i stałe, administracye, organizacye gospodarstw leśnych, urządzenia leśne w majątkach z serwitutami i bez nich, szacunki poręb, wyborowych sztuk, całych przestrzeni i majątków leśnych, zakładanie szkółek i roboty przy uprawach leśnych, zamianie nieużytków na przestrzenie leśne i innych melioracyach, — prowadzenie trzebieży i czyszczeń w zagajach, — projektowanie i budowa zakładów przemysłowych: tartaków, gontarni, beczkarni, smolarni i terpentyniarni, wyłuszczarni nasion, kolejek leśnych i t. p., załatwia kupno i sprzedaż doborowych nasion i sadzonek leśnych, a także sprzedaż praktycznych narzędzi i maszyn, oraz artykułów handlu utensylii, używanych w gospodarstwie leśnem i łowieckiem.

Na własne lub na właściciela ryzyko prowadzi eksploatacyę w lasach, kupuje i sprzedaje materyały wyborowe lub partye leśne, lub też pośredniczy w kupnie sprzedaży tychże. Wyrabia pożyczki Towarzystwa kredytowego ziemskiego na przestrzenie leśne, lub innych instytucyi kredytowych na partye drzewa w stanie okrągłym i odrobionym...

Jak widzimy z powyższego, zakres działalności bardzo obszerny i nader doniosły dla naszego ziemiaństwa.

Spodziewać się więc należy, iż zamierzenia biura znajdą gorące poparcie we wszystkich sferach zainteresowanych, zwłaszcza, że, jak dotychczas, handel drzewem pozostawał w rękach ludzi obcych nam, dzięki swym dużym środkom materyalnym, bez konkurencyi i bezceremonialnie eksploatującym ziemiaństwo nasze.

Ostatnio „Biuro leśne" wystąpiło na wystawie w Milanówku z pawilonem własnym, w którym wystawiło następujące maszyny i przyrządy, których wyłącznie przedstawicielstwo na Królestwo i Cesarstwo posiada:

Przyrządy do szkółkowania i siewniki Hackera z Kralowego Hradca w Czechach.

„Pinofery" Grusa — przyrządy do przewożenia i przesadzania większych sadzonek z grudą; maszyny do przewracania drzew z korzeniami systemu „Stendal".

Maszyny do karczowania pni „Szatan leśny", wyrobu A. Piepera w Mörs nad Renem.

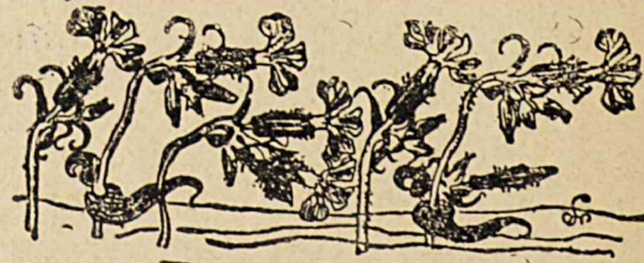
Oprócz tych maszyn i narzędzi wystawiono jeszcze wszelkie nowości, wchodzące w zakres różnych gałęzi leśnictwa: przyrządy Spitzenberga do uprawy szkółek, świdry Jansy, siewniki, łopaty różnych typów, grabie, motyki, narzędzia do sadzenia, przyrządy do szacowania lasów: tastry (fity) różnych typów, numeratory, taśmy do mierzenia długości drzewa, wysokomierze, oryginalne szwedzkie firmy Beas i Mattson świderki do mierzenia przyrostu drzewa i t. d. W dziale eksploatacyi: „rozpornicę" Wintscha do rozsadzania pni, różne typy pił, piłek, toporów i siekier.

Trąbki i sygnałówki, potrzaski i żelaza do tępienia drapieżników i szkodników i wiele innych rzeczy.

Zwracała tam również uwagę kolekcya nasion drzew i krzewów leśnych, krajowych i egzotycznych, składająca się ze 157 gatunków, systematycznie ugrupowanych.

Zbiór poważny. Nakoniec w tymże pawilonie widzieliśmy zeszyty tegoroczne wydawnictwa leśników Polskich, zgrupowanych przy Wydziale leśniczym C. T. R., wydawnictwa, mającego za sobą 3-letnią poważną dla dobra krajowego leśnictwa pracę.

Ze wszystkiego, powyżej przytoczonego, widzimy, iż „Biuro leśne" stanowi nader poważną placówkę przemysłowo - handlową, której też życzymy jak najpomyślniejszego rozwoju.





8374.

# Tow. Akcyjne Warszawskiej Fabryki Dywanów.

## Oddział Kijowski, Kreszczatik 6.

Telefon № 35-30.

Poważną placówkę handlową stworzyło w Kijowie Tow. Akc. Warsz. Fabryki Dywanów, otwierając swój oddział w Kijowie przed niespełna półrokiem.

Prawie że do ostatnich czasów całe zapotrzebowanie dywanów w Cesarstwie zaspakajane było przez zagranicę, gdyż powstające w Rosyi fabryki nie mogły, z powodu braku odpowiednich środków wytrzymać konkurencyi z potężnym przeciwnikiem.

Dopiero powstałe w ostatnim lat dziesiątku Tow. Akc. Warsz. Fabryki Dywanów zaczęło produkować towary, w niczem nie ustępujące najwykwintniejszym wyrobom francuzkim, zarówno co do gatunku, jak i co do deseni i gustu.

Niezależnie od dywanów, do których wyrobu używa wyłącznie przędzy francuzkiej, fabryka produkuje obicia meblowe i portyery. Na wyroby swe fabryka znajduje nader łatwy zbyt zarówno w Królestwie, jak i w Cesarstwie.

Dla dogodności swej klienteli Tow. Akc. Warsz. Fabryki Dywanów, oprócz filii dla sprzedaży detalicznej w Warszawie i Łodzi, otworzyło specyalny oddział w Kijowie, przy ul. Kreszczatik 6.

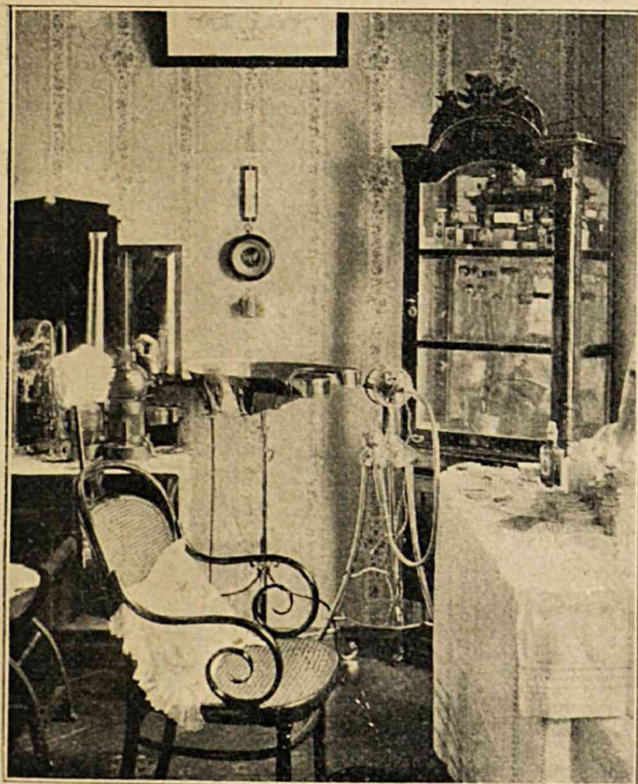
Zajmuje on obszerny lokal, posiada piękne okna wystawowe, przez które każdy podziwiać może olbrzymi wybór towarów meblowych i dywanów. Oko przechodnia uderzają przepiękne desenie dywanów, o nader subtelnie i artystycznie dobranych kolorach i odcieniach, wspaniałe portyery, obramowane haftami podług najnowszych wzorów, wreszcie inne materyały i obicia meblowe, pod każdym względem dorównywujące zagranicznym, a ustępujące im pod względem ceny, która jest niższą.

Nietylko jednak własnego wyrobu dywany posiada na składzie skład fabryczny kijowski. Posiada on również i olbrzymi wybór oryginalnych perskich dywanów, zakupywanych przez fabrykę w wielkich ilościach na miejscu, bezpośrednio, co, naturalnie, wpływa na zniżenie ceny.

Kijowski fabryczny skład Tow. Akc. Warsz. Fabryki Dywanów, pomimo stosunkowo krótkiego istnienia swego, zdobył sobie ogólne uznanie, i zastępy klienteli jego rosną.

Obecnie każdy, kto chce nabyć, czy to dywan, czy portyery, lub obicia meblowe, a zarazem otrzymać towar o wysokim gatunku i pragnie zachować pewien styl i smak w mieszkaniu, udaje się właśnie do składu fabrycznego, i zupełnie jest pewnym, że nietylko obsłużny zostanie sumiennie, lecz i znajdzie rzecz, której pragnął, i nabędzie ją taniej, niż przypuszczał.

---





8370.

# Salon de beauté Lydie Bekh, Kijów,

## bulwar Bibikowski № 5.

Przed niedawnym czasem zbogacił się Kijów o instytucyę, zabiegi o piękno kobiece mającą na celu.

Założycielką jej jest p. Lydia Bekh, która, posiadając medyczne wykształcenie, po długich studyach i ukończeniu słynnego „Institut de Beauté“, w Paryżu (Place Vendôme 26) oraz „Institut de Beauté et Académie scientifique de beauté“ w Paryżu, gdzie studyowała „Soins des cheveaux“ i masaż głowy podług systemu M-me Adair i d-ra Lerois, osiadła w Kijowie i otworzyła tam swe „Salon de Beauté“ przy bulwarze Bibikowskim nr. 5.

Nowootworzone salony w krótkim przeciągu czasu zdobyły sobie poważne zastępy klienteli, zwłaszcza z pośród przedstawicielek arystokracyi kijowskiej i okolicznej.

Urządzono salony z zastosowaniem wszystkich najnowszych wynalazków w tej dziedzinie, zaopatrzono we wszystkie udoskonalenia i ulepszenia, wykluczające potrzebę stosowania masażu ręcznego i wogóle dotyku rąk.

Zajmując się ogólnie sprawą urody kobiecej, jako specyalność obrał sobie salon Lydii Bekh konserwowanie skóry, zapobieganie wpływom szkodliwym i usuwanie objawów niepożądanych, jednem słowem zaś wogóle pielęgnowanie i zachowanie naturalnej piękności cery.

Pod względem urządzenia wewnętrznego, salon Lydii Bekh nęci oko swą artystyczną całością. Wszystko tam lśni, błyszczy, wszystko stanowi tak skończenie piękną artystyczną całość, że samo przez się przekonywa, że tylko do podniesienia urody służyć może.

W zakresie swej specyalności p. Lydia Bekh, nie kieruje się zasadą zapewniania klientek o rzeczach, które są nie do zdobycia. Nie zapewnia ich, naprzykład, że przywróci im piękność lub też stworzy to, co tylko darem jest natury. Zapewnia jednak ona klientki swoje, iż dzięki jej pomocy i współdziałaniu zachowają podstawę piękności, to jest naturalną świeżość cery.

Zapewnienia te swoje opiera na gruntownej znajomości środków, które ułatwiają osiągnięcie celu.

I to jej właśnie najwięcej jedna klienteli. *kr.*

---

## Ś. p. Ks. Justyn Gryglewski,



proboszcz par. Siemkowice, kanonik honorowy kolegiaty kaliskiej, dziekan wieluński, zm. dn. 16 czerwca. Urodzony w r. 1829, po ukończeniu szkół w Radomiu, wstąpił do zakonu O. O. Dominikanów w Warszawie. Po zniesieniu zakonu, sekularyzował się i osiadł na probostwie w Siemkowicach, gdzie dokonał żywota, żegnany z żalem przez parafian, dla dobra których i kraju długie lata pracował.

## Ś. p. Wiktor Kamiński.



W dniu 2 b. m. zmarł ś.p. Wiktor Kamiński w 28-m roku życia. Był jedną z młodych a wiele obiecujących sił teatru warszawskiej farsy; wszystkie prawie kreacye przedwcześnie zmarłego artysty były dziełem talentu i sumienności.

## Treść № 28 „Świata".





## Poradnik hygien.-kosmetyczny.

*Racyonalne pielęgnowanie zębów.*

Od racyonalnego i umiejętnego pielęgnowania zębów i jamy ustnej zależy niejednokrotnie zdrowie nasze. A to dlatego, że wszelkie chorobotwórcze bakterye i mikroby, znajdując w szczelinach zębów i jamy ustnej odpowiednie podłoże dla siebie, rozwijają się tam, rozmnażają, a następnie wraz z jedzeniem dostają się do żołądka, zatruwając organizm. Ażeby je zniszczyć, należy racyonalnie, celowo, pielęgnować zęby i jamę ustną. Jak praktyka dowiodła najlepszym preparatem do tego celu okazał się „Tlenol", (krem, proszek, płyn), sporządzony ściśle podług recepty d-ra Napoleona Cybulskiego, prof. Wszechnicy Jagiellońskiej. Niszczy on bakterye i dezynfekuje jamę ustną, wzmacniając zęby.

*Płynny preparat Sanguinalu.*

Nie wszyscy pacyenci znoszą leki w postaci pigułek. Ta okoliczność wpłynęła na wyrób znanych preparatów Sanguinalowych w postaci płynnej, zadość czyniącej wszystkim najnowszym wymaganiom. Liquor Sanguinalis Krewel, jest to nadzwyczaj przyjemny w smaku płyn, który znoszą również dobrze i osoby wrażliwe, a który zwłaszcza nadaje się jako środek leczniczy żelazisty w praktyce kobiecej i dziecięcej, zastępujący w zupełności Haematogen. Liquor Sanguinalis w przeciwstawieniu do innych płynnych preparatów żelazistych, nie zawiera zupełnie gliceryny, jest łatwostrawny i skuteczny. Stosowany bywa we wtórnej anemii, blednicy i stanach z nich wynikających zwłaszcza, gdy są one połączone z blednicą twarzy, bolami i zawrotami głowy i ze znużeniem. Zadziwiająco szybką bywa poprawa stanu krwi po użyciu likworu.

*Papier Poudré Ltd.*

Żadna pora nie działa tak szkodliwie na cerę, jak letnia, gdy słońce upalne promieniami swemi praży twarz, niszcząc naskórek. Najradykalniejszym środkiem zapobiegawczym jest pokrycie twarzy cienką warstwą pudru. Lecz noszenie przy sobie puderniczki z puszkiem jest dla wielu pań uciążliwem, zwłaszcza przy obecnej modzie wązkich, obcisłych sukien. Najlepiej do tego nadaje się puder w książeczkach, tak zw. (*Papier Poudré Ltd*). Jedna karteczka tego papieru pudrowego, wydarta z książeczki i roztarta po twarzy przy pomocy chusteczki, okrywa ją cienką warstwą pudru, chroniącą w zupełności od wpływów atmosfery. *Dr. M. D.*

## Z Kalotechniki.

Nr. 21. Paznokcie wymagają specyalnej pielęgnacyi, mianowicie manicure, wystarczy raz w tygodniu, dla utrzymania paznokci w porządku. Uzdolniona specyalistka w Kalotechnice wykonywa to wytwornie.

Nr. 99. Piegi i żółte plamy usunie bezpowrotnie Lanol. Na noc smarować Lanolem, rano wycierać płynem Vesta. Przy kupnie tych środków należy zwracać baczną uwagę na markę ochronną, dla odróżnienia od bezwartościowych falsyfikatów.

Nr. 57. Elektroliza oraz usuwanie brodawek wykonywa się w Kalotechnice w godzinach przyjęć lekarskich codzień od 4—6. Łamliwość włosów usunie Ol. Hel.

Nr. 8. Szoferowi. Wszystkim jeżdżącym samochodami radzimy wycierać twarz płynem Vesta, który doskonale oczyszcza cerę z kurzu i chroni od złego wpływu wiatru na cerę. Włosy trzeba przysłać do analizy lekarskiej. Po zbadaniu zaleci się odpowiednie środki. W Radomiu środki nasze są do nabycia u Cieszkowskiego.

Listy z zamówieniami adresować prosimy wprost do Kalotechniki, Marszałkowska 116, tel. 16-73, a wszelkie przesyłki wysyłamy za zaliczeniem pocztowem.

*Zarząd Kalotechniki.*